

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 2 (1606)

8 STYCZNIA 1989 ROKU

CENA 50 ZŁ

- Z pełnym workiem srebra — str. 1 i 7
- Dalszy ciąg „Dzieci Arbatu” — str. 10
- Kara za przedsiębiorczość — str. 6
- A. Makowiecki „Dziesięć melonów” — str. 11



Poznajecie? To Grand-Hotel, który w 1900 roku miał tylko dwa piętra. Następne dwa dobudowano po pożarze hotelu, a jedno po wyzwoleniu. Zdjęcie archiwalne ze zbiorów Muzeum Historii Miasta Łodzi

Z pełnym workiem srebra niczym kupiec z Samary

ADAM OCHOCKI

Neufność, osłupienie, rozpacz — odmalowały się na twarzy starego chłopca polskiego (mistrzowska, niestety ostatnia kreacja Jana Świdorskiego), gdy jak obuchem w głowę ugodziła go wiadomość o unieważnieniu rubli carskich.

— To jak to? Carskie ruble nie są ważne? Dotąd były ważne, a teraz nie? To przecież nie może być. Carskie ruble nieważne... — bełkotał, nie mogąc przeboleć straty swego majątku, który latami gromadził, odmalowując sobie niejednego Zycie nagle straciło dlań cały sens.

Po obejrzeniu filmu w TV powłóczyłem się smętnie do szafy. Sięgnąłem po moje „skarby”. I ja mam okazały pakiet banknotów carskich o różnych nominałach. Tylko że ja ich nie chomikowałem. Kiedy były w obiegu, raczkowałem pod stołem. Otrzymałem je od znajomych w prezencie kilka lat temu, gdy poraził mnie bakcyli numizmatyczny.

Papierowych rubli carskich nie wymieniano na nową walutę. Sporo ich zachowało się do naszych czasów, toteż niemal za bezcen można je dziś kupić. Ale wówczas, do pierwszej wojny światowej, to ho, ho rubel miał dużą wartość nabywczą, znajdował się w czołówce najmocniejszych walut światowych. Kurs giełdowy wynosił wszystkiego dwa ruble za dolara.

Ozdoba mojej kolekcji jest starszy ode mnie banknot 500-rublowy. Przetrwał w idealnym stanie, jakby dopiero co wyszedł spod prasy. Z lewej strony, w ozdobnym owalu, portret Piotra Wielkiego, z prawej — alegoryczna postać kobieca. Na odwrocie — godło carskie, dwugłowy orzeł, i napis, z którego wynika, że Państwowy Bank Rosji wymienia banknoty rublowe na złote monety bez ograniczenia sumy na terytorium całego imperium w relacji al pari, czyli jeden do jednego.

Puszczam wodze fantazji... Co bym zrobił, gdybym w owych latach miał w ręku ten banknot 500-rublowy? Ano, pobiegłbym do banku i wymieniał go na „nikolaszki”, złote pięć- czy dziesięciuroblówki lub 15-rublowe imperiały. Ile by to wyniosło w przeliczeniu na nasze dzisiejsze pieniądze? Znajomy cinkciarz wtajemniczył mnie, że złota dziesięciuroblówka „chodzi” po trzyście tysięcy złotych. Wyciągam kalkulator. Pięćdziesiąt razy trzyście tysięcy to... Kalkulator zaczyna mrugać. Może bateria się wyczerpała, a może tyle milionów nie mieści się w czytniku?

Opadają mnie refleksje. Po co wymieniać na złote monety? Licho wie, jak to będzie po latach. Wyjdzie zarządzenie o obowiązku zdeponowania w banku złotych monet i — kłops. Znamy to przecież z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych naszego stulecia. Poza tym złoto łakoma rzecz, ktoś

mnie podpatrzy w banku i da mi w czapę...

Nie, bezpieczniejszym wymienię banknot na srebro. A po ile „chodzi” dziś srebrne ruble, kursujące wówczas na równi z papierowymi? Na łódzkich giełdach staroci — na targowisku przy ul. Zjazdowej, w „Unibudzie” przy ul. Sienkiewicza, czy w Dzielnicowym Domu Kultury przy al. 1 Maja cena wywoławcza srebrnego rubla waha się w granicach 9—10 tysięcy złotych. O dwa tysiące więcej niż za monetę 10-złotową z podobizną Józefa Piłsudskiego z lat międzywojennych. Bo chociaż dychy z „działkiem” są cięższe, ważą 22 gramy, gdy rubel tylko 20, to czystego srebra w rublach jest więcej, bite były bowiem z kruszcu o próbie „900”, gdy nasze przedwojenne dziesiątki mają próbę „750”. W Warszawie na stadionie „Skry” kurs jest jeszcze wyższy: dziesiątki z Piłsudskim

to bardzo trudno powiedzieć, co jest, a co nie jest polityczne.

Z Kazachstanu przez Moskwę, Warszawę do Paryża

Rozmowa z RYSZARDEM KERNEREM — fizykiem, profesorem Uniwersytetu Paryskiego.

— Nawet gdyby nie było marca 1968 roku i tak wyjechałbym z Polski.

— Pan był warszawiakiem?

— W Warszawie się znalazłem jak miałem 10 lat. I wtedy — tak, byłem warszawiakiem, ale przedtem mieszkaliśmy w Moskwie, bo mój ojciec pracował w ambasadzie polskiej. To jest dość skomplikowana historia.

Ojciec mój pochodził ze Lwowa, a mama urodziła się w Zytomierzu. Potem po rewolucji i wojnie polsko-bolszewickiej osiedli w Łucku. Tam zostali aż do wojny i tam cała rodzina, wujowie, dzieci i rodziny zginęli zamordowani przez Niemców. Mama wcześniej wyjechała do Warszawy i tam skończyła szkołę pielęgniarstwa, a ojciec studiował na Uniwersytecie Lwowskim. O asystenturę było trudno więc udało mu się dostać posadę nauczyciela w prywatnym liceum żydowskim w Łodzi. Pracował tam aż do wojny, a z mamą spotkał się przez przypadek w Augustowie w 1939 roku. W przededniu wybuchu wojny postanowili się pobrać. We wrześniu 1939 r. wyładowali po rosyjskiej stronie, we Lwowie. Po rosyjskiej stronie nie było tak źle dla tych, którzy byli z biedoty. Wszystko stracili w Łucku. Trzeba tylko było uważać, żeby jakiegos dowcipu nie opowiedzieć, bo wtedy mogłoby się to nieprzyjemnie skończyć. Jak Rosjanie weszli, to łapali się głównie za to, co było w ich oczach ostoją państwowości i porządku polskiego. Wyszli z wszystkich z dworów. Zabrali też wszystkich wyższych urzędników.

— Inteligencja była wówczas też na indeksie u Rosjan a pański ojciec był absolwentem Uniwersytetu Lwowskiego.

— Oczywiście tak było, ale mój ojciec był nauczycielem w Łodzi, a we Lwowie była tylko jego rodzina. Biedna. Ojciec jej pomagał. A poza tym ojciec sympatyzował z komunistami.

— Przynależność do KPP nie była mile widziana przez władze radzieckie?

— Tak, tak. Ale on nie należał do partii. Był tylko sympatykiem. A we Lwowie nikt poza rodziną go nie znał. Wszystkich nie brali. Żydowskiej inteligencji brali mniej. Postanowili na niej się oprzeć. Mieli bowiem podstawy sądzić, że uda im się to wykorzystać, że byli różnego rodzaju zadrażliwieni i doskonale je wykorzystali. Zresztą, dlaczego mieli tego nie wykorzystywać?

— Jak pan pamięta okres lwowski?

— Matka, która świetnie mówiła po rosyjsku, zaczęła pracować w szpitalu. Ojciec nauczył się rosyjskiego jako tako i zaczął pracować w liceum jako nauczyciel. To trwało do 1941 roku i wtedy nie było już wątpliwości, że należy wiać przed Niemcami. No i znaleźliśmy się w Kazachstanie. Razem z nami przodował tam mój kuzyn, który miał wtedy 19 lat. Potem razem z gen. Władysławem Anderssem wyszedł ze Związku Radzieckiego, walczył u Andersa, potem wrócił do Izraela i brał udział w wojnie wyzwolenczej w 1948 roku.

— A rodzice?

— Ojciec był najpierw nauczycielem a potem dyrektorem w liceum polskim w Kazachstanie. A potem wszystko zmieniło się jak w kalejdoskopie. Szkoła podlegała pod Związek Patriotów Polskich, ale najpierw Rosjanie uznali rząd londyński i wtedy naprawdę trudno powiedzieć, kto do kogo i do czego należał. Po wyjściu wojska polskiego z Władysławem Anderssem z ZSRR, po sprawie Katynia i śmierci gen. Władysława Sikorskiego nastąpiła polaryzacja: jedni okazali się wrogami, inni włączyli się w kontrolowane przez komunistów działania ZPP. Z tym, że też tak jasno to nie wyglądało, bo to wszystko było w proszku. Wanda Wasilewska gdzieś tam sobie biegła, ale do Kazachstanu, gdzie społeczność polska była duża, to ona jednak nie sięgała.

— Czy ojciec zakładał powrót do Polski?

— Naturalnie.

— A pan urodził się w Kazachstanie?

— Tak. W 1943. Byli tam potworne warunki. Głód. Wszystko szło dla frontu. Jak rodzice tam przyjechali, to była tam wieś, zamożna, pięć tysięcy mieszkańców i były bażanty i inne specjalności. Wkrótce było już we wsi 50 tysięcy ludzi. Część zesłańców, część z własnej woli. Dużo Polaków, dużo Niemców z Półwioła. Różnych zesłańców, którzy nie kwalifikowali się do łagrów, tylko na lepszą formę zesłania. Głównie inteligencja, rosyjska, łotewska, estońska, litewska, Koreańczycy. Naprawdę nie wiem, dlaczego oni tam się znaleźli, bo zesłańcami nie byli. Skończyli się bażanty. Wyjedźono nawet chomiki. Był tyfus. Miejscowi chłopcy zaproponowali rodzicom, że mnie kupią.

— Niemożliwe!

— Tak było. Śmiertelność niemowląt była wtedy bardzo duża i jak się urodziłem, to przyszła delegacja chłopów kazachskich i powiedzieli matce bardzo otwarcie: „Tak to i wy, i dziecko, zginiecie z głodu, a tak to i wy na pewno przeżyjecie, a dziecko będzie w świetnych warunkach”. I zaproponowali, bardzo przystojną cenę: cztery worki ryżu i 16 kilo maki. To pozwoliłoby przeżyć co najmniej rok albo nawet półtora.

— W jaki sposób znaleźli się pan z rodzicami w Moskwie?

— Niemcy podpisali kapitulację 9 maja 1945 roku, ale jeszcze sporo czasu upłynęło nim znaleźliśmy się poza Kazachstanem. Jak człowiek ma jakąś pracę i za tę pracę 400 gramów czarnego, gliniastego chleba dziennie, to się tego trzyma. No i nie można było uczniów rozpuścić do domów bez matury. Część z nich miała zdać maturę. Nie było też za bardzo dokąd jechać. Nie było wiadomo, co z Polską stanie się, czy przejdzie do Amerykanów, czy do Rosjan, czy stanie się 17 republika, jak to niektórzy mówili. Tak więc dopiero w 1946 roku rodzice znaleźli się w Moskwie. A wcześniej — prawie przez rok byli w, odległym o 250 kilometrów od naszej kazachskiej wsi, Dzambule. Było to polskie liceum.

— Potem zaczął się okres moskiewski.

— Tak. Pamiętam podróż jak przez mgłę. Miałem wtedy ze trzy lata. Podróż trwała dwa tygodnie w wagonach o niewygodnych, drewnianych ławeczkach. W Moskwie rodzice dowiedzieli się, że nikt z rodziny nie przeżył. Nie mieli dokąd wracać. Trzeba było jakoś przeżyć. Ojciec szukał jakieś roboty. Tłumaczył. I spotkał znajomego jeszcze z czasów łódzkich. To był komunist, działacz. Pracował w nowo powstałej ambasadzie polskiej w Moskwie. Zaproponował ojcu pracę w tej ambasadzie. Ojciec przyjął ją z zachwytem i w ten sposób przez sześć lat siedzie-

Udział Polaków w rewolucjach rosyjskich 1917 r. był procesem złożonym. Przeobrażenia rewolucyjne zachodziły w państwie będącym do niedawna jednym z zaborów Polski, co siłą rzeczy musiało rozdzielić społeczeństwo polskim nie tylko w akceptacji rewolucji, ale także obojętności i wrogości wobec radykalnych przemian politycznych i społecznych w Rosji.

W głębi Rosji, na Ukrainie i Białorusi w 1917 r. przeżywała kilkumilionowa rzesza Polaków.

Spółność ta składała się z ludności polskiej z dawną tam osiadłej, przede wszystkim w dużych ośrodkach miejskich, nierzadko już zasymilowanej z miejscową ludnością, a także z przybywających przed I wojną światową w poszukiwaniu pracy robotników, chłopów i inteligentów. Była tam również młodzież polska podejmująca naukę w rosyjskich szkołach średnich i uczelniach wyższych. Do centralnych guberni Rosji przybyły setki tysięcy uciekinierów wojennych z Królestwa Polskiego, także pracowników ewakuowanych zakładów przemysłowych i kolei, urzędników i instytucji administracji państwowej — ogółem ok. 1,5 mln uchodźców. W Rosji znajdowało się kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy Polaków zmobilizowanych do wojska carskiego (ok. 500 tys.), jak też jeńców wojennych z armii austriackiej i niemieckiej (ok. 100 tys.). Grupa niezbyt liczna, bo tylko kilkusetosobowa, ale odgrywająca bardzo ważną rolę w życiu Polonii rosyjskiej, tworzyli byli więźniowie i zesłańcy polityczni uwolnieni przez rewolucję lutową.

Pod względem społecznym ogromną większość Polonii stanowili robotnicy i chłopci, których cele klasowe były w zasadzie zgodne z interesami rosyjskich mas ludowych. Dość liczne jednak były także środowiska polskiej burżuazji, ziemiaństwa i arystokracji. Zróżnicowane też było oblicze polityczne tej społeczności; wśród niej działały różnorodne partie oraz ugrupowania oraz ich instytucje i ośrodki filialne prezentujące skrajnie odmienne programy społeczne i polityczne, pretendujące do objęcia przywództwa politycznego nad ludnością polską — od partii socjalistycznych, poprzez ugrupowania liberalne, do endeckiej i Stronnictwa Polityki Realnej.

Socjalista Zygmunt Zaremba, Piotrkowianin, którego rewolucja lutowa 1917 r. zastała w Charkowie, tak pisał po latach o atmosferze tamtych wiosennych dni:

„Gorące technicznie rewolucji obalającej dom niewoli ludzi i narodów przeobraziło całkowicie nie tylko zewnętrzne warunki naszego życia, ale duchową atmosferę, w której tkwiłyśmy dotychczas. Otworzył się nam świat, w którym nie mierząc już mieliśmy być pod przyszłe zasiewy, ale siłowaliśmy na glebie uprawionej przez poprzednie pokolenia, a nawet budowniczymi nowych, lepszych kształtów życia. Rewolucja przyniosła radośne uniesienie. Oczami, uszami, prawie dotykami, ręką chłoniliśmy, obiektem się w rzeczywistość tego, co dotychczas było tylko marzeniem. Myśle, że w pierwszych miesiącach wszyscy byliśmy pod takim urokiem rewolucji”.

Także inni świadkowie owych dni zgodnie podkreślają, że rewolucja obalająca dynastię Romanowów przyniosła powiew wolności i entuzjazmu, a ożywienie polityczne ogarniało coraz większe masy ludności, w tym także Polaków rozsiadanych na ogromnym terytorium państwa rosyjskiego. Polskie środowiska wyrażały niemal powszechnie gorącą aprobatę dla rewolucji lutowej, a ich przedstawiciele licznie i samoradnie uczestniczyli w burzliwych wydarzeniach politycznych. Polacy bez względu na pozycję społeczną i orientację polityczną spodziewali się, że obalenie caratu przyspieszy zakończenie wojny i ich powrót do kraju, a także umożliwi odrodzenie niepodległego państwa polskiego.

W miarę rozwoju wypadków i pogłębiania się przemian rewolucyjnych krystalizowały się podziały polityczne wśród Polaków przebywających w Rosji. Z jednej strony wyraźnie zarysowały się dążenia i wpływy polskich ugrupowań burżuazyjnych i liberalnych, dysponujących poważnymi środkami finansowymi i cieszących się poparciem rządu rosyjskiego, a przedstawiciele tych środowisk opowiadali się za neutralnością lub separacją wobec spraw rewolucji rosyjskiej, eksploatując równocześnie hasła patriotyczne i solidaryzmu narodowego, postulując tworzenie polskich formacji wojskowych i prowadzenie innych przygotowań na rzecz powrotu do kraju.

Z drugiej strony odmienne stanowisko zajęły polskie partie socjalistyczne, które pomimo istniejących w tym obozie różnic politycznych i taktycznych, solidarnie występowały w obronie rewolucji pod hasłami międzynarodowego proletariackiego. Socjaldemokraci polscy utożsamiając się z celami partii bolszewickiej szli z nią ramię w ramię, uczestnicząc w bezpośrednich przygotowaniach do listopadowego powstania zbrojnego w Piotrogradzie i w samym przewrocie. Także członkowie PPS, zarówno lewicy jak i Frakcji Rewolucyjnej, pomimo zastrzeżeń swego kierownictwa wobec polityki bolszewików, poparli czynem przemianę rewolucyjną.

Bronisław Siwik, działacz PPS-Frakcji pisał z Piotrogradu do swych towarzyszy partyjnych w Warszawie w grudniu 1917 r.:

„Robotnik polski w ogromnej swej większości idzie ręką w rękę z robotnikiem rosyjskim pod znakiem bolszewizmu. Idzie pod tym znakiem bez względu na przynależność partyjną. Idzie zarówno SDKPiL-owiec, jak i PPS-owiec lewicowiec, idzie żywiłowiec i bynajmniej nie dlatego, że wiąże go z bolszewizmem przynależność partyjna lub że bolszewicy najbardziej uwzględniają sprawę wolności narodowej. Nie, on idzie, bo uważa ten (bolszewizm) za klasowy, za własny, za swój”.

Wśród Polaków uczestników rewolucji rosyjskiej 1917 r. przytłaczającą większość stanowili bezpartyjni — robotnicy, chłopci, żołnierze i inteligenci... Do szeregów rewolucjonistów prowadzili ich motywacje klasowe, niepodległościowe, a nierzadko też odruch chwili. Jak wynika z obliczeń historyków ogółem ok. 100 tys. Polaków uczestniczyło w rewolucji październikowej i wojnie domowej w obronie władzy radzieckiej w Rosji. Była to grupa narodowości-

ciowa zdecydowanie najliczniejsza i najlepiej zorganizowana spośród 300-tysięcznej rzeszy cudzoziemskich bojowników rewolucji rosyjskiej.

Pośród nich znalazła się także grupa łódzian. Należy przypuszczać, że było ich co najmniej kilkuset, niektórzy historycy szacują ich ilość na ok. 200 osób. Sprawa ta wymaga jeszcze dalszych kwerend źródłowych.

Kim byli łódzianie uczestniczący w rewolucji październikowej, z jakich wywodzili się środowisk?

Jakie drogi wiodły ich z Łodzi do odległego Piotrogradu, Moskwy i innych ośrodków rozsiadanych na ogromnym terytorium państwa rosyjskiego? Jaką rolę odegrali w wypadkach rewolucyjnych, jak potoczyły się dalsze ich losy?

Na te i inne pytania spróbuję odpowiedzieć, wcześniej sięgnąwszy do ponad 150 biografii rewolucjonistów. Zdecydowana większość z nich urodziła się w Łodzi, inni związali się z nią w sposób znaczący i trwały przed 1917 r. poprzez spędzenie tu lata nauki lub pracy zawodowej, czy też działalność społeczną i polityczną.

Polacy w Rosji

Z Łodzi do Piotrogradu i Moskwy

PAWEŁ SAMUŚ

Byli to przeważnie ludzie młodzi, spośród nich 3/5 miało nie więcej niż 30 lat w 1917 r., niektórzy zaś ledwie po kilkanaście. Większość pochodziła ze środowisk plebejskich — robotniczych (57) i chłopskich (12), ale spotykamy wśród nich osoby o pochodzeniu inteligentkim (16) i drobniemieszczanckim (10). Znajdźmy tam także rewolucjonistów wywodzących się z tzw. sfer wyższych, którzy już dawno zerwali ze swoim środowiskiem jak Mieczysław Warszawski-Bronski, syn przemysłowca łódzkiego, Mieczysław Dobranicki, którego ojciec był kupcem w Łodzi, czy Stanisław Pestkowski, potomek rodziny ziemiańskiej z Wileńskiego.

Dominiowali robotnicy, przede wszystkim przemysłowi, ale byli także pracownicy rzemieślniczy. Najliczniejszą grupę stanowili włóknarze, ale spotykamy w tej grupie także ślusarzy, górników, tokarzy, stolarzy, szewców, piekarzy, kolejarza, ogrodnika, zecera, szofer, ponadto robotników fabrycznych bez kwalifikacji. W kilkudziesięciosobowej grupie inteligentów (ok. 40) spotykamy nauczycieli, lekarzy, urzędników, buchalterów, dziennikarzy, techników, księgarza oraz 13 studentów i uczniów gimnazjalnych.

Poziom wykształcenia był oczywiście bardzo zróżnicowany. Większość ukończyła tylko szkołę elementarną, niektórzy byli samoukami, ale znaleźmy wśród nich także absolwentów wyższych uczelni. Mieczysław Bronski studiował w Instytucie Politechnicznym w Monachium oraz na uniwersytecie w Berlinie, zaś na uniwersytecie w Zurychu uzyskał doktorat z ekonomii w 1913 r. Mieczysław Dobranicki rozpoczął studia na politechnice w Berlinie, potem przeniósł się na wydział humanistyczny uniwersytetu w tym mieście, a po kilkuletniej przerwie przeznaczony na działalność rewolucyjną w Królestwie Polskim udał się do Heidelbergu, gdzie w 1910 r. na uniwersytecie obronił pracę doktorską i uzyskał stopień naukowy doktora praw. Inny łódzianin, Ludwik Klocman na te same uczelnie doktoryzował się w zakresie nauk przyrodniczych i medycznych. Wacław Miller studiował na uniwersytecie w Genewie, a następnie w Instytucie Komunikacji w stolicy Rosji. Natomiast Stanisław Pestkowski po ucieczce z zesłania syberyjskiego przebywając na emigracji w Anglii, potrafił pogodzić pracę zarobkową — był elektrykiem i tramwajarzem w Londynie, działalność w ruchu robotniczym oraz studia w londyńskiej School of Economics and Political Sciences, którą ukończył w 1917 r.

Nie zabrakło w grupie łódzkich rewolucjonistów także kobiet, choć w tej zbiorowości doliczyć się ich tylko 13. W wydarzeniach rewolucyjnych w Rosji uczestniczyły zarówno doświadczone aktywistki ruchu socjalistycznego, a były to robotnica Janina Krasowska-Piekarska i Aniela Rybińska, oraz inteligentki Edda Hirsfeld-Tenenbaum, Eugenia Czelicka-Nowosielska, Halina Zarawska, jak i początkujące rewolucjonistki — robotnice Antonina Czeraszkiewicz i Helena Jezierska, a także nauczycielka Maria Fuks i urzędniczka bankowa Maria Edelman, gimnazjalistka Stefania Raszał oraz Julia i Ewelina Heflich.

Interesujący był rodowód polityczny łódzian uczestników rewolucji październikowej. Spośród nich ok. 3/4 było wcześniej związanych organizacyjnie z ruchem robotniczym, zaś pozostali do bezpartyjności. Większość należała do SDKPiL (60), część do PPS-Lewicy (17), i PPS-Frakcji Rewolucyjnej oraz do partii bolszewików. Spotykamy tu kilka osób, które po rewolucji lutowej związały się z organizacją młodszych robotników i socjaldemokratów, jak uczynili na przykład Piotr Borewicz czy Mieczysław Dobranicki, by potem przejść do bolszewików. Prawdziwymi weteranami byli: Jan Promiński związany z ruchem socjalistycznym od końca lat osiemdziesiątych XIX w., działacz Związku Robotników Polskich (ZRP) i Socjaldemokracji Królestwa Polskiego, towarzysz Włodzimierz Lenina na zesłaniu w Szuszenskoje; Karol Doczał, który w tym samym czasie rozpoczął działalność w polskim ruchu socjalistycznym, a potem był aktywny w szeregach ZRP, PPS i PPS-Lewicy; natomiast Aleksander Sztetlich należał do kółek Wielkiego Proletariatu, II Proletariatu, a potem SDKPiL.

Wielu z łódzkich działaczy rozpoczynało drogę rewolucyjną w kółkach młodzieżowych, inni w organizacjach partyjnych i ruchu związkowym w okresie rewolucji lat 1905—1907 w Łodzi i innych ośrodkach Królestwa Polskiego.

Niektórzy z nich już wtedy zostali działaczami partyjnymi szczebla centralnego w SDKPiL jak Stanisław Pestkowski, Mieczysław Dobranicki, Jan Tenenbaum, Mieczysław Bronski. Inni stali się aktywistami większego formatu przed I wojną światową jak Romuald Muklewicz, jeden z kierowniczych działaczy łódzkiej organizacji PPS-Lewicy w okresie kampanii ubezpieczeniowej.

Różne drogi wiodły tych ludzi do Moskwy, Piotrogradu i innych miejsc w Rosji.

Różne okoliczności zadecydowały o ich bezpośrednim udziale w rewolucjach rosyjskich 1917 r. Niemal 1/4 prezentowanej grupy stanowiili więźniowie polityczni, katorżnicy i zesłańcy uwolnieni przez rewolucję lutową, zaś lata spędzone w carskich kazamatkach z reguły determinowały ich postawy w późniejszym okresie. Z najcięższych więzień w Orle, moskiewskich Butyrkach, z kategorii nerczyńskiej i miejsc dożywotniego osiedlenia rozrzuconych po Syberii wyszło tysiące rewolucjonistów po obaleniu cara Mikołaja II, a wśród nich łódzianie Wiktor Bajer, Władysław Celmerowski, Tomasz Chudzyński, Walenty Ciesielski, Karol

Doczał, Jan Domżał, Franciszek Kaliszewski, Stanisław Martynowski, Ignacy Piwoń, Stanisław Szeszonek, Ignacy Wizner i inni. Wszyscy oni niezwłocznie włączyli się w nurt życia politycznego, tam gdzie akurat się znajdowali lub spieszyli do centralnych ośrodków państwa rosyjskiego.

Dość liczna grupa, bo 42-osobowa stanowili łódzianie żołnierze armii rosyjskiej, którzy odbywali obowiązkową służbę wojskową powołani do niej jeszcze przed wybuchem wojny lub zostali zmobilizowani już w toku działań wojennych. Większość z nich to szeregowi żołnierze, ale spotykamy i takich, którzy podczas wojny zdobyli w armii rosyjskiej stopnie podoficerskie jak Roman Ejenkiel i Romuald Muklewicz, czy też młodszych oficerów jak chorąży Piotr Borewicz, albo też z racji swego zawodu służyli jako lekarze wojskowi jak Artur Banasz, Ludwik Klocman, Ludwik Pinkus. Wielu z nich natychmiast po przewrocie lutowym 1917 r. przechodziło do obozu rewolucyjnego, inni uczynili to później, podejmując niebezpieczną z ramienia partii socjalistycznych działalność w rewolucyjnych komitetach i organizacjach żołnierskich, uczestnicząc w przygotowaniach do październikowego powstania zbrojnego.

Wypadki rewolucyjne zastały w głębi Rosji także robotników łódzkich, którzy wyjechali tam w poszukiwaniu pracy jeszcze przed wybuchem wojny lub już w czasie trwania działań wojennych, a także pracowników zakładów i instytucji ewakuowanych z Królestwa Polskiego. Kilkunastu uczniów i studentów z Łodzi pobierało nauki w gimnazjach i wyższych uczelniach Piotrogradu, Moskwy i Kijowa.

Byli i tacy, którzy przypadkowo znaleźli się w Rosji w tych przełomowych chwilach. Księgarz łódzki, Stefan Szpinger, posiadał obywatelstwo niemieckie i z tego powodu po wybuchu wojny został wywieziony przez władze rosyjskie do guberni archangielskiej, skąd przedostał się do Moskwy i tam zastały go wypadki rewolucyjne.

Niektórzy z rewolucjonistów rosyjskich przewróci lutowy 1917 r. witali na emigracji w krajach zachodnich, dokąd uszli przed represjami carskiej policji. Podejmowali tam pracę zarobkową, studia i najczęściej kontynuowali działalność w ruchu robotniczym.

Mieczysław Bronski podczas I wojny światowej przebywał w Zurychu i pozostawał wówczas w bliskim kontakcie z Włodzimierzem Leninem.

„Pewnego razu — jak wspominała potem N. Krupskaja — gdy Iljicz (W Lenin) po obiedzie już wybierał się do biblioteki, a ja kończyłam zmywanie naczyń, wpadł Bronski ze słowami: «Nic jeszcze nie wiecie? W Rosji rewolucja!» — i opowiedział nam treść dodatków nadzwyczajnych. Kiedy odszedł Bronski, posłaliśmy nad jezioro, bo tam nad brzegiem w pawilonie wyłożono wszystkie pisma zaraz po ich ukazaniu się. Kilka razy odczytywałam depesze. W Rosji wybuchła rzeczywista rewolucja”.

Bronski należał do współorganizatorów przejazdu Lenina przez Niemcy do Piotrogradu, dokąd również sam przybył w czerwcu 1917 r.

Działaczka socjaldemokracji polskiej Eugenia Czelicka-Nowosielska, która od 1912 r. przebywała na emigracji w Nowym Jorku, na wieść o wypadkach rewolucyjnych w państwie rosyjskim przyjechała wraz z mężem i synem do Rosji w maju 1917 r., a wkrótce skierowana została do pracy rewolucyjnej na Krymie. Do Piotrogradu pospieszyli też inni działacze łódzkiej SDKPiL przebywający wtedy w Europie Zachodniej jak Leon Frankiewicz, Teodor Robert Proppie i Edward Holcman. Stanisław Pestkowski organizował powrót rosyjskich emigrantów politycznych z Anglii, a w czerwcu 1917 r. sam przyjechał do Piotrogradu. Pełnił tam z ramienia partii bolszewickiej poważne funkcje w radach delegatów, ruchu związkowym, pracy propagandowej, a w sierpniu 1917 r. został członkiem Sekretariatu KC SDPRR (bolszewików).

Pestkowski należał do organizatorów powstania zbrojnego w Piotrogradzie i brał bezpośredni udział w przeprowadzeniu przewrotu. Jak wspominał w latach, dnia 6 listopada 1917 r. po południu w czasie zapisywania delegatów na zjazd Rad w Smolnym „podbiegł do mnie towarzysz Dzierżyński z papierkiem w ręce.

— Polecamy wam, abyście wraz z towarzys-

szem Leszczyńskim zajęli główny telefon. Oto mandat Wojskowo-Rewolucyjnego Komitetu, który mianuje was komisarzem telefonu. Wyłączcie natychmiast.

— W jaki sposób zająć telefon? — spytałem.

— Warte pełni tam Keksholmski Pułk, który jest po naszej stronie — odpowiedział Dzierżyński.

Więcej o nic nie pytałem. Zadanie wydawało mi się niezbyt trudne, jako że byłem kierownikiem naszej peterskiej komórki pocztowo-telegraficznej i znałem prawie wszystkich naszych bolszewików. Odszukałem towarzysza Leszczyńskiego i wraz z nim wyruszyliśmy. Zaden z nas nie miał rewolweru. Gdy siadaliśmy do samochodu, znajdowaliśmy się w stanie dziwnego i męczącego napięcia. Oto oczekiwaliśmy od dziesiątków lat decydujące wystąpienie proletariatu. Czymże się ono zakończy? Czyżby znowu porażka? Gorzkie doświadczenie dni lipcowych (1917 r.) nie dawało nam pełnej wiary w zwycięstwo”.

Ostatecznie obaj polscy rewolucjonisci pomimo wielu perypetii zdolali wykonać powierzone im zadanie i powstańcy opanowali główny telefon w Piotrogradzie, podobnie jak i inne ważne gmachy w mieście jeszcze przed szturmem Pałacu Zimowego. Stanisław Pestkowski z przemyśleniem oka opisał też inne swoje poczynania w następnych dniach listopada, kiedy „poszukiwał pracy” a wreszcie został na krótko kierownikiem Banku Państwowego, by po dwóch dniach, jak stwierdził, zakończyć „finansową karierę” i podjąć się organizowania Komitetu Ludowego do Spraw Narodowości.

Po zwycięskim przewrocie socjaldemokraci polscy umocnili się w przekonaniu o słuszności realizowanej strategii i taktyki rewolucyjnej w ścisłym sojuszu z partią bolszewicką, z której celami utożsamiali i później, pomimo pewnych różnic zdań w sprawach politycznych np. w kwestii narodowej czy wojny. Wierni idei międzynarodowego proletariackiego byli przekonani, że służą sprawie rewolucji światowej zapoczątkowanej przewrotem październikowym, a tym samym wyzwoleniu proletariatu polskiego i Polski, która wraz z triumfem socjalizmu, o czym byli głęboko przekonani, zdobędzie wolność w rodzinie wolnych narodów świata. Do takiego stanowiska skłaniali się także działacze PPS-Lewicy, a niekiedy także i PPS.

Postawą rewolucjonistów polskich idących ramię w ramię z partią bolszewicką, ich ofiarność i ideowość, wiedzę i znajomość języków obcych, talent polityczny i organizacyjny docenili Włodzimierz Lenin i inni przywódcy rewolucji rosyjskiej, powierzając działaczom polskim wysokie stanowiska we władzach państwa radzieckiego, niekiedy kluczowe dla bytu tejże państwowości i losów rewolucji.

Ekspozycyjne funkcje pełnili działacze, których droga rewolucyjna zaczynała się niegdyś w Łodzi. Stanisław Pestkowski został zastępcą komisarza ludowego do spraw narodowości, Mieczysław Bronski kierownikiem Wydziału Handlu Zagranicznego w Komisariacie Ludowym. Handlu i Przemysłu, a potem zastępcą komisarza ludowego i członkiem Najwyższej Rady Gospodarki Narodowej, zastępcą członka Ogólnorosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego Rad. Niektórzy poświęcili się pracy wśród ludności polskiej w Rosji, działając w Komisariacie Polskim, jak Wacław Miller czy Stanisław Budkiewicz.

Wielu łódzian walczyło na frontach wojny domowej w szeregach Armii Czerwonej.

Piotr Borewicz, nauczyciel z Łodzi, zasłynął jako zdolny dowódca i energiczny organizator wojskowy, otrzymując za odwagę i działalność jedno z najwyższych wtedy odznaczeń radzieckich — złoty zegarek z dedykacją od Rady Wojskowo-Rewolucyjnej PPSRR. Stanisław Budkiewicz był komisarzem zarządu administracyjnego sztabu 16 Armii (1920), na kierowniczych stanowiskach w Armii Czerwonej pozostawał przez następnych kilkanaście lat. Romuald Muklewicz w latach 20. i 30. był zastępcą dowódcy radzieckiego lotnictwa wojskowego, a następnie marynarki wojennej. Władysław Kochański, który do Rosji Radzieckiej przedostał się dopiero w styczniu 1919 r. pełnił również wysokie funkcje dowódcze w Armii Czerwonej, zostając też teoretykiem wojskowości. Ignacy Wizner był funkcjonariuszem wysokiej rangi w kierownictwie CzK. Obok tych najbardziej znanych działaczy byli też szeregowi żołnierze, podoficerowie i dowódcy pododdziałów w polskich i międzynarodowych formacjach rewolucyjnych.

Po zakończeniu wojny domowej w Rosji Radzieckiej niektórzy rewolucjonisci polscy podejmowali decyzje o powrocie do Polski, również łódzianie wracali do swego rodzinnego miasta. Niektórzy z nich kontynuowali działalność w szeregach partii komunistycznej i socjalistycznej, inni nie wyróżniali się aktywnością polityczną. Ci, którzy pozostali w państwie radzieckim włączyli się do procesu budownictwa socjalistycznego. Mieczysław Bronski został posłem radzieckim w Austrii (1920—1922), potem był profesorem Uniwersytetu Moskiewskiego i Akademii Wojskowej, autorem wielu prac z historii, ekonomii politycznej i finansów, pracował też w aparacie państwowym. Stanisław Pestkowski był pierwszym ambasadorem Związku Radzieckiego w Meksyku i całej Ameryce Łacińskiej (1924—1926), potem zajmował się działalnością w międzynarodowym ruchu komunistycznym, publicystyką i pracą naukową. Mieczysław Dobranicki został mianowany konsulem generalnym ZSRR w Hamburgu (1924), potem kierował jednym z wydziałów Komisariatu Ludowego Spraw Zagranicznych, a od 1930 był dyrektorem biblioteki im. M. Sałtykowa-Szczedrina w Leningradzie. Także inni polscy komuniści brali udział w radzieckim życiu politycznym, gospodarczym i kulturalnym. W okresie represji stalinowskich padli ofiarą nieuzasadnionych oskarżeń, wtrąceni do obozów i więzień, rozstrzelani, dopiero po XX Zjeździe KPZR (1956) zostali zrehabilitowani.

liśmy w Moskwie. Zaczęłam jako wartownik nocny, ale potem zostałam urzędniczką i wreszcie doszłam do stanowiska attaché kulturalnego i prasowego. Chodziłam do rosyjskiej szkoły. Oczywiście bardzo dobrze, bo wszystko było w najlepszej dzielnicy Moskwy. To był niezwykle awans społeczny. Rodzice postanowili pozostać w Moskwie, ale jak usłyszeli o pogromie kieleckim, to stracili pewność i nie wiedzieli, co mają robić. Na stałe w Moskwie mieszkali już nie chcieli, na Zachód też nie, bo ojciec był na tyle przekonany...

— **Komunistą?**
— Nie, przekonany o słuszności postępowania Lewicy. Do partii wstąpił dopiero w 1948 roku.

— **W 1952 roku rodzice zdecydowali się jednak przenieść do Polski?**

— Wtedy to już nikt nie decydował o czymkolwiek. Tam był taki prawdziwy młyn stałowski. Ojciec starał się jak mógł, wystawy urządzał. No i właśnie przy okazji wystawy „Malarstwo Polskie w Rosji” wywalił ojca i pierwszego sekretarza ambasady. Spotkałem go teraz, jak był w Polsce i on mi opowiedział jeszcze raz jak to się wszystko odbyło.

To już był okres, gdy ojciec służbowo jeździł do Warszawy. My jeździliśmy kilka razy na wakacje do Polski. Byłem zachwycony podróżami. Sympatyczne wagony. To była niesłychana kariera mego ojca. A przecież jak przyjechaliśmy do Moskwy, to gnieździł się w pokoiku o powierzchni dwa metry na cztery, a jak się gospodarze dowiedzieli, że mamy polskie papiery, to poprosili, żebyśmy się wynosili. Gdy ojciec osiągnął szczyt kariery, przyszła ta wyśtawa. Wystawa jeszcze trwała, gdy zadzwonił

poza domem rozmawiało się po rosyjsku. W domu, tylko i wyłącznie po polsku. Od małego chłopca byłem dwujęzyczny, polsko-rosyjski.

Jest takie przysłowie „jeżeli wypędzasz diabła drzwiami, to on wróci oknem”. Takie na się wyzbywanie się własnej narodowości do niczego nie prowadzi. W każdym razie nie osiąga się celu tak łatwo jak by się wydawało. Mój ojciec był zapalonym ateistą. Gdzieś tam głęboko w podświadomości chodziło być może mu o to, żeby przestać być Żydem, bo jemu Żyd kojarzył się z obrazem Żyda-nędzara, żyjącego w biedzie i upośledzeniu.

— **Klasyczny obraz Żyda galicyjskiego.**

— No właśnie. Mój dziadek ze strony ojca przywędrował do Lwowa ze Stryja, a do Stryja trafił prapradziadkiem z Żółkwi. Nie tylko Żydzi, ale i Łemkowie i inne narodowości tam mieszkające, żyły w strasznej nędzy. Myślę, że wyzwolenie się z nędzy było przez ojca uosabiane z zaprzeczeniem żydostwa. U ojca dochodziła do tego jeszcze skłonność do lewactwa, antyreligijność. To — moim zdaniem — było bardzo rozpowszechnione wizerowanie i świata wśród Żydów galicyjskich. Ale błąd polega na tym, że człowiek kiedy ma 25 lat, to nie zdaje sobie sprawy z tego, że jak coś sobie postanawia, to tym samym wyznacza drogę dla swoich dzieci, a może i wnuków.

Przypuszczam, że jak urodził się dzieci, to moim rodzicom wydawało się, że po prostu wystarczy, że nie będzie się o pochodzeniu wszystkim. Ale to nie wystarczy, żeby uszło uwagi dzieci, żeby dzieci nie wyczuły, że coś jest przez rodziców skrywanie. Bo jednak dzieci potrzebują tożsamości i ona tak czy owak zostaje przekazana, nawet jeżeli w jakiejś przymglonej postaci. Przecież dziecko doskonale zauważa niektóre rzeczy, na przykład lzy matki, gdy ta słyszy piosenkę ży-

syjskiego i nikogo nie interesuje, kto co robi w Moskwie, z kim i dlaczego. Postawa taka jest błędna, bo na przykład Niemcy będą się dogadywać wprost, ponad naszymi głowami i nie będziemy nikomu do niczego potrzebni.

— **Przejdźmy do wydarzeń 1968 roku.**

— To był okres wyjazdów za granicę. Jeździłem do Paryża. Pierwszy raz wyjechałem z siostrą. Następny raz to był wyjazd celowy. Poznałem w Paryżu dziewczynę. Wtedy jeszcze nie myślałem o emigracji. Wiedziałem wtedy, że moja przyszła żona Dominika, Francuzka, nie wytrzyma na dłuższą metę życia w Polsce.

— **Pan w tym czasie pracował na Uniwersytecie Warszawskim?**

— Dostałem asystenturę na fizyce. Było to nędzne, ale jakoś się żyło. Chciałbym podkreślić, że 1968 rok przyspieszył jedynie to, co nastąpiłoby może o rok później. Myślałem o wyjeździe już od dawna. Pamiętam, co było punktem zwrotnym. Byłem na studiach, miałem dziewczynę, nie-Żydówkę. W trzech przetłumaczyliśmy książkę i zostało mi trochę pieniędzy z honorarium za tłumaczenia. Nawiasem mówiąc, wszyscy trzej jesteśmy poza Polską. Postanowiłem za część tych pieniędzy otworzyć sobie księgarnię mieszkaniową. Pamiętam, że wtedy „M-1” kosztowało 54 tysiące. Miałem tylko trzy tysiące, ale miałem tylko 21 lat. Mogłem czekać. Poszedłem do spółdzielni mieszkaniowej, usiadłem w poczekalni. A tam mrowie ludzi. Czekała, no i gadają o tym i o owym. Uświadomiłem sobie nagle, że większość ludzi dookoła ma już 54 tysiące złotych odłożone na księgarnię. Byłem nieopierzonym naiwniakiem. Wydawało mi się, że zebrane te sumy wystarczy, żeby dostać mieszkanie. A tu widzę, że większość w poczekalni ma pieniądze i nie ma mieszkania. Usłyszałem, że trzeba, aby mieć szybko mieszkanie albo mieć znajomości, albo być w siwie, albo dać komuś w łapę. Okazało się, że trzeba około 25 tysięcy.

Z tej ziemi

W tym szaleństwie nie ma metody

Obśmiał to już Marek Przybylik z „Życia Warszawy” i ja się do tego obśmiania przyłączam. Rzecz bowiem akurat nie w tym, że Ministerstwo Transportu, Żeglugi i Łączności uznało, iż trzeba od 1 stycznia 1989 roku podnieść opłaty za telefon, ale przede wszystkim w uzasadnieniu. Otóż to uzasadnienie brzmi tak:

„Zmiana cen za krajowe usługi telekomunikacyjne wynika ze znacznego wzrostu kosztów eksploatacyjnych oraz z konieczności zapewnienia środków na dalszy rozwój naszej telekomunikacji”.

Właśnie ten „dalszy rozwój naszej telekomunikacji” tak rozbawił Marka Przybylika a ja się do jego rozbawienia przyłączyłem. Publicysta „Życia Warszawy” przypominał się czasy jego dzieciństwa, kiedy to wszystko rozwijało się dynamicznie i wiadomo, czym się skończyło. Rozwijało się nadal niezależnie od faktycznego stanu rzeczy. Po prostu taki był styl i niektórym ten styl pozostał.

Z praktyki wiemy, że stan naszej telekomunikacji nie jest dobry. Zdarzają się liczne pomyłki, przekłamanie, błędne połączenia, włączenia do cudzej rozmowy, a to rodzi podejrzenia, że i nas ktoś może niechętnie podsłuchiwać. Zdarzają się „chwilowe wycięcia abonentów” i inne niedogodności, że nie wspomnę już o niustannym braku kabla i tysiącach ludzi oczekujących na telefon, że też nie wspomnę o wsi polskiej, dla której telefon jest czymś zupełnie nieznanym. A przecież na świecie tak nie jest.

Jeśli więc mamy teraz płacić więcej za rozmowy telefoniczne „na dalszy rozwój naszej telekomunikacji”, to — rozumując logicznie — płacić będziemy na dalsze niedogodności, błędne połączenia, brak kabla i wydłużające się kolejki oczekujących. Na przykład mieszkańcy budującej się dzielnicy mieszkaniowej Olechów w Łodzi będą czekać na telefon od 4 do 10 lat. Za co więc mamy płacić?

Przywykłem do tego, że ceny rosną niustannie. Każdy wzrost cen można uzasadnić wzrostem kosztów. Podrożał na przykład papier — podrożały gazety. Podrożeje elektryczność i gaz — podrożeją usługi i komornie. Podrożeje komornie — podrożeją ceny różnych artykułów, bo ich producenci cenę komornego wliczą w koszty i tak dalej. Mam niustanny proces drożenia. Gdzieś tego jest granica, która wyznaczy wytrzymałość kieszeni klienta. Jeśli ma to doprowadzić do bankructwa słabych organizmów i wzmocnienia silnych — mogę to jeszcze zrozumieć. Jeśli natomiast jest to proces, którego nikt już nie potrafi żadną siłą opanować i zatrzymać, to boję się o jego skutki. Gdyż w tym szaleństwie nie ma metody, a to grozi żywiołowością, której nie nie powstrzymamy.

Marzy mi się natomiast zupełnie inny mechanizm. Ściąganie pieniędzy poprzez podnoszenie cen jest czynnością niewątpliwie skuteczną, łatwą, nie wymagającą myślenia. Wystarczy na kartce z ceną napisać wyższą cenę. I po krzyku! Chciałbym natomiast, aby ten czy inny... W tym miejscu zabrakło mi słowa. Chciałem napisać przedsiębiorca, ale byłoby to słowo niewiastowe. Wprawdzie prezentowane myślenie — to typowe myślenie urzędnicze, a powinno być właśnie związane z przedsiębiorczością. Bo chodzi mi o to, aby ten i ów pomyślał nie, o ile podnieść cenę, ale jak zarobić pieniądze. A pieniądze zarabia się oferując klientowi coś nowego: usługi, towary, rady, pomysły i wszystko inne, co może być na sprzedaż. A przykłady takiego myślenia i działania zdarzają się.

Oto w Koszalinie Janusz Imiolek wziął w agencję sklep spożywczy. Fakt sam w sobie normalny. Ale on pomyślał i postanowił, że jego sklep spożywczy będzie się różnił od innych sklepów spożywczych. I u niego w sklepie spożywym można kupić świeży chleb i... gazety. „Kurier Polski” podaje — skąd zaczerpnąłem tę pouczającą wiadomość — że u Janusza Imiołka można dostać również świeżutkie gazety: „Głos Pomorza”, „Życie Warszawy”, „Express Wieczorny” i wiele różnych tygodników. A obok stoją sobie smutnie kioski RUCH.

Pamiętam, kiedy pracowałem niegdyś w „Głosie Robotniczym”, a szefem tej gazety był wówczas Sergiusz Klaczko, to marzył on o tym, aby „GR” i inne gazety, tak jak to jest na całym cywilizowanym świecie, przynoszono rano do domu wraz z mlekiem i chrupiącymi bułeczkami. Marzenie pozostało nieziszczone. Komu by się w Polsce opłaciło biegać rano po domach i roznosić prasę, mleko i chrupące bułeczki. Tym bardziej, że tych ostatnich jak nie było, tak nie ma.

Mam wszelkie nadzieje, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, to doczekam dnia, kiedy coraz więcej ludzi zamiast mechanicznie podnosić ceny, zacznie zastanawiać się, jak by tu z zarobić pieniądze? A to przecież jest możliwe. Ba, to jest konieczne! Mechaniczne podnoszenie cen jest bowiem szaleństwem, w którym nie ma żadnej metody. I takie szaleństwo jest groźne, jak każde szaleństwo zresztą.

Mniej zatem urzędowania, więcej myślenia, pomysłowości i przedsiębiorczości!

Rozmawiał:
MAREK BRZEZIŃSKI

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Z Kazachstanu przez Moskwę, Warszawę do Paryża

do ambasady ktoś z NKWD i oświadczył, że kustosz, który opiekował się obrazami, jest persona non grata i ma opuścić terytorium ZSRR. Pierwszy sekretarz zadzwonił do Warszawy i zapytał, co ma robić. W Warszawie oświadczyli, że jeżeli NKWD jest w to zamieszane, to broń Boże, żeby tłumaczyć i przekonywać. Wystawa została bez kustosza. Obrazy zapakowali Rosjanie w papier do pakowania i wsadzili na odkryte wagony. Przed transportem pokryto je jednak werniksem i go nie żałowano. Jak obrazy dojechały do Warszawy, jak odpowiedzialna osoba, ale zupełnie nie znająca się na rzeczy, otworzyła pakunki, to papier był miejscami przemoczony od deszczu, a całe płótno pokryte białą mazią przypominającą smalec. Werniks ściął się od chłodu. Podniesiono taki raban, że poleciał i sekretarz i mój ojciec. Chcieli ich obydwojka wsadzić do więzienia, ale ktoś wpadł na pomysł, żeby płótna wyczyścić terpentyną i okazało się, że obrazy są nienaruszone. Ojca i sekretarza nie wsadzili, ale my wróciliśmy do Polski.

— **To był koniec kariery dyplomatycznej ojca i początek warszawskiego etapu?**

— Tak. W Warszawie trzeba było zaczynać od nowa. Najpierw sprzedaliśmy zegarki i inne wartościowe rzeczy. Dostaliśmy mały pokój w Hotelu „Bristol”. Tam przyszła na świat moja siostra. Okna pokoju wychodziły na podwórko z garkuchnią. Przez cały rok mieszkaliśmy w zapachu unoszącym się aż po ostatnie piętro. Ojciec znowu się starał powiązać koniec z końcem. Robił jakieś tłumaczenia. Umarł Józef Stalin. W powietrzu wisiało nowe.

— **Przyszła pora na kolejny zwrot?**

— Tak. Ludzie, którzy kręcili się przy władzy nie byli inteligentni, mimo iż nawet pokonczyli jakieś uczelnie, ale byli sprytni. Spryt zastępuje inteligencję. I to z dużym powodzeniem. Po śmierci Józefa Stalina szybko się zorientowali, że trzeba lekko zmienić kierunek działania. Ojciec miał więc szczęście, gdyż występował jako poszkodowany. A więc na wszelki wypadek lepiej go wywindować, a nie pogrzebić. Dostał się do PAP. Spotkał znajomego, ze Lwowa, który w odpowiednim czasie obdł się od PPS i był naczelnym PAP. Ojciec na początku pełnił jakieś tam skromniutkie funkcje, a potem był redaktorem i tak było do 1968 roku. Szef był w 1968 roku utrzymywany, ale resztę wymiotło.

— **Poprawiło się wasze życie domowe?**

— W domu odbywała się wojna domowa. Czy pamięta pan tę scenę z „Don Kichota”, gdy Sancho Pansa ma zostać gubernatorem, a jego żona mówi: „To jednak nie jest dla nas. Przecież ty przedziej się później dostanieś w łeb”. Sancho Pansa odpowiada: „Jakżeś to, jakże to”. Z moją mamą było podobnie. Nie czuła się w tym wszystkim dobrze. Mama jest pielęgniarzką i za takową się uważa i te wszystkie sztuczki z dyplomacją ją mierziliły. Uważała, że ta cała ambasada, to było takie i napuszone, i nieautentyczne, oparte na jakiejś strasznej tipie. W domu odbywały się, co pewien czas, starcia na tym tle i mama stawiała się coraz bardziej reakcyjna. Wyobrażała sobie, że ojciec powinien pracować jako nauczyciel, zgodnie ze swoim filologicznym wykształceniem. W 1956-1957 roku zaczęłam sam patrzeć na to, co się dzieje dookoła. Zastanawiałam nad pewnymi rzeczami.

— **Miał pan wtedy czternaście lat.**

— Tak. Tak. To taki wiek kiedy, jak to zwykłe chłopcy, człowiek zaczyna patrzeć na otoczenie własnymi oczyma i wtedy właśnie uświadomiłem sobie, do jakiego stopnia jestem Żydem, nim pozostanę i co to oznacza.

— **Obudzenie poczucia świadomości nara-
wek musi być uwarunkowane jakimiś czynni-
kami zewnętrznymi.**

— Trochę zawdzięczać to matce, ale ojcu na pewno nie. Bo on starał się przez pewien czas udawać, że nie ma problemu.

— **Czy pan zna jidysz albo hebrajski?**

— Nie. Niestety nie. Ojciec mój mówił świe-
nie po hebrajsku. Ja czasami mam mu nawet za złe, że mnie nie nauczył hebrajskiego czy żydowskiego. W domu rodzice rozmawiali w jidysz, jak chcieli coś ukryć przed dziećmi. Jak byliśmy w Kazachstanie, to

dowską. Lży są dyskretne, ale dziecko ma ostre, wyczułone widzenie takich spraw.

— **I nadszedł 1956 rok.**

— Wtedy wszystko zaczęło szybko dryfować. Byli wprowadzić tacy, którzy trzymali się dawnych wartości, którzy by zachowali, ale to już nie miało sensu. Czepiali się rzeczy, które już nie istniały. Mielismy do czynienia ze starciem się dwóch postaw, dwóch sposobów widzenia świata, obydwa mają z sobą zupełnie realne, rozsądne argumenty, natomiast nie można ich pogodzić w jednej osobie, a nawet, powiedziałbym, w jednym narodzie. Zabiera to całą energię jednostki czy narodu, która jest poświęcona w tym wypadku na walkę tych dwóch jestestw między sobą.

Przeżyłem coś podobnego osobiście. Kiedy kilka razy zetknąłem się z jawną wrogością i odrzuceniem, tylko z tego powodu, że byłem Żydem. Nie, żeby to były jakieś straszne rzeczy, ale dziecko to odczuwa zawsze w nieprzejmny sposób. Dziecko ma bardzo silnie zakodowaną potrzebę podobania się i akceptacji. A z drugiej strony między dziećmi zawsze dochodzi do takiej przepychanki, bez względu na pochodzenie, każdy chce być tym najbardziej uznanym.

— **Wspomniał pan, że rodzilo się w panu poczucie odrębności i tożsamości. Z jednej strony kształtowała się pańska osobowość jako człowieka, z drugiej — rodziła się identyfikacja pana jako Żyda. Czy istniała zatem grupa, z którą mógł się pan identyfikować?**

— W moim przypadku dramat polegał na tym, że o ile poczucie relacji „ja — oni” powstało stosunkowo prosto, o tyle bardzo brakowało mi poczucia „my — oni”, albo, w ogóle „my”. Było nas bardzo mało. W Polsce nie było już społeczności żydowskiej. Było jednak sporo znajomych. Byłem dosyć muzykalny i wrażliwy na sposób mówienia, na intonację, a poza tym bardzo lubiłem uczyć się różnych języków. Jak to się naprawdę lubi i ma „ucho”, to jest duża frajda móc określić „kto jest kto” na podstawie tego, kto mówi jakim językiem czy dialektem. Dla sportu: sam dla siebie, bawiłem się w taką zagadkę: „ten to jest Żydem, a ten nie jest”. Zresztą dla mnie to była zabawa, ale wiem, że mogło to być czasem nieprzyjemną formą reakcji na ludzi podejrzanych o pochodzenie żydowskie. Wydało mi się, że wiąże się to z ciągłym zagrożeniem, na jakie i Polska jako państwo i naród polski były narażone. To pociąga za sobą konieczność bardzo dokładnego zdefiniowania „my”. To forma obrony.

— **Ale to przecież nie jest produkt najnowszych czasów.**

— Nie. Pamiętam jak opowiadał mi jeden z niezjadanych już naszych znajomych, który — jak to się mówiło — nie wyglądał na Żyda. Służył jako oficer w armii polskiej i nikt go nigdy nie posądzał o żydowskie pochodzenie. Kiedy we wrześniu 1939 roku rozbito jego oddział, każdy z nich poprzebierał się w cywilne ubrania. W swojej wędrówce zatrzymał się w jakimś małym miasteczku. Bardzo dobrze go przyjęto, a na drugi dzień rano przyszedł chłopczyk i powiedział: „A bo dziadek mi mówił, że pan jest Żydem”. Znajomy się zdziwił i pyta: „Skąd ten pomysł?”. A bo — odpowiada chłopczyk — pan gwizdał, a na ścianie wisiał święty obrazek”.

Kiedy człowiek zyska poczucie siły wynikające ze świadomości, że kultura i tak przetrwa, wtedy może sobie pozwolić na stwierdzenie typu: „Jestem Polakiem, chociaż w moich żyłach płynie krew różnych narodowości”. Wydaje mi się, że w przypadku Polski cywilizacja nie przetrwała, ale kultura przetrwała. Polska zsovietyzowała się dużo bardziej niż się to ludziom wydaje, ale nie w sferze kultury. Dzięki temu Polska będzie mogła odegrać rolę pośrednika między Wschodem a Zachodem w sferze kultury, a przecież społeczeństwo polskie tak mało wie i tak mało interesuje się tym, co dzieje się w Związku Radzieckim.

— **Jest to być może mechanizm obronny?**

— Tak, ale jest to obrona Żle pojęcia. W Polsce wszyscy znają na pamięć ulice Paryża czy Londynu, ale odwracają się od języka ro-

1.

Romuald Tesarowicz, mimo że zatrudniony w łódzkim Teatrze Wielkim na pełnym etacie i od czasu do czasu można go usłyszeć na deskach tej sceny w „Żydówce”, „Mefistofelesie” i „Nabucco” w żadnym wypadku nie miał prawa wsiąść do jednego z czterech autokarów wiozących jego macierzysty zespół na gościnne występy do Francji. Gdyby tak się stało, gdyby nie daj Boże któryś z dziennikarzy popołudniówek wydawanych nad Sekwaną i Saoną wytropił ten kompromitujący fakt, Romuald Tesarowicz natychmiast spadłby w cenę we Francji. I to znacznie. I nawet gdyby jego wykonania partii Zachariasza w „Nabucco” okrzykiwane w tym kraju, a także we Włoszech i kilku innych za wybitne, okazały się w ciągu tegołódzkiego tournée jeszcze lepsze niż zazwyczaj, Romuald Tesarowicz musiałby długo tłumaczyć się przed swoim, naryskim impresario z ponelionego grzechu. Bo i któż zapłaciłby maksymalną sumę w dolarach za bilet na artystę, który podróżuje po świecie... autobusem?! Dlatego Romuald Tesarowicz, wydając swoje własne zarobione przy innej okazji franki, towarzyszył czterem jadącym z Łodzi autokarom swoim własnym samochodem nie bacząc na solidne zmęczenie.

Romuald Tesarowicz jest gwiazdą prawdziwie europejskiego formatu i dlatego nie wolno mu popełnić żadnego błędu. Musi jadać w najlepszych restauracjach, kupować najlepsze gatunki wspaniałego Beaujolais u tego samego stałego, prywatnego wytwórcy win (próbowałam — nektar na języku, a do tego na etykiecie otulającej pieszczotliwie pękniętą butelkę, widnieje nazwisko właściciela), ubierać się z fantazją albo bez, ale z wyczuciem stylu. Najlepszy dowód, że nosi, przy swoim wspaniałym wzroście, czarny kapelusz z szerokim rondem jak z czasów cyganerii.

W ogóle aż strach pomyśleć: prawdziwa gwiazda tournée łódzkiego Teatru Wielkiego do Lyonu i okolic czyli Romuald Tesarowicz musiał prowadzić życie niesłychanie uporządkowane. Mógł w przeddzień występu wypić ostatni, ale i tak jeden z niewielu tego wieczoru, kieliszek czerwonego wina. Przed godziną 21 pojechać najbliższymi towarzystwami i po prostu „udać się na spoczynek”. I to naprawdę — bo francuscy dziennikarze sprawdzają i takie rzeczy. Musi być stale w dobrej kondycji, aby na przykład gdy nazajutrz się okazało, iż po pierwszym akcie kolega solista nie wytrzymał kondycyjnie ze względu na panującą we Francji indyjską gripę, Romuald Tesarowicz odłożył kamerę wideo, którą rejestrował fragmenty przedstawienia w St. Etienne, i na życzenie dyrektora Andrzeja Straszynskiego w ciągu pięciu minut przebrał się, ucharakteryzował i wyszedł na scenę, aby odnieść kolejny triumf.

Po spektaklu słyszałam, jak kolejny — zupełnie nowy — impresario rozmawiał z nim na temat terminu przedstawienia „Aidy” w wypełnionym na dwa lata z góry propozycjami kalendarzu łódzkiej gwiazdy.

2.

No dobrze. Jeśli Romuald Tesarowicz występował z łodzianami w „Nabucco”, to przecież musiał się godzić także na znacznie mniejsze honoraria za każdy występ, niż wtedy, gdyby dostawał je będąc zaproszonym na kilka wieczorów np. do Opery Paryskiej. I tak było. Ale surowe prawa biznesu czynią wyjątek dla największych artystów tylko wtedy, gdy występują ze swoim macierzystym teatrem.

— Mój drogi, pokazując się z Łodzią, możesz to nawet robić za darmo, bo to symbolizuje związek z „korzeniami” — mówił do Romualda Tesarowicza jego impresario — a to melomnów wzrusza i potem gotowi są nawet zapłacić więcej za bilet, by usłyszeć artystę tak bardzo przywiązanego do swojej ojczyzny.

W ogóle Romuald Tesarowicz, głos, który już dwukrotnie krytycy „Opera-News” porównali do Fiodora Szalapina (m.in. po występie w partii Mefistofelasa na festiwalu w Dreźnie), a z równym aplauzem wykrzyknęła to samo także Wanda Wermińska na jednym z festiwali w Krynicy, spadł jak z nieba żurnalista, która chciała na konkretnym przykładzie przedstawić obowiązujące obecnie na zachodzie prawa rynku. O tym, że Romuald Tesarowicz „wziął się” w operze z Reprezentacyjnego Zespołu Wojska Polskiego wiemy wszyscy. Ostatni sezon operowy jest w środkowej Europie tzn. głównie w Francji, Włoszech i RFN związany mocno z tym nazwiskiem, o czym przecież niejednokrotnie mówił także na falach eteru i przed telewizyjną kamerą paryski korespondent Michał Walczak. Nie wzięło się to z przypadku.

W 1986 r. Romuald Tesarowicz — a ma on wspaniały głos, rudą technikę, a także znakomite warunki i warsztat aktorski — wystąpił (już po nagrodach w konkursach) na życzenie Rostropowicza w sali Pleyela w Paryżu w operze Siergieja Prokofiewa pt. „Wojna i pokój”, która trwa mniej więcej siedem godzin. Wypadł tam tak dobrze (a występuje w niej 75 solistów, więc jest duża skala porównawcza), iż od tego czasu zaczęły się jeszcze wspanialsze propozycje i to głównie od agencji paryskiej „Opera i Koncert”, która dziś trzyma go „za lazną ręką”. Dobrze też wypadł na koncercie zorganizowanym przez Ambasadę Polską w Paryżu. No i tak zaczęło się.

W styczniu 1987 r. było z Radiem Francuskim „Requiem” Verdiego, potem nagranie w Waszyngtonie „Borysa Godunowa” (partia Warłama) i dalsze kontakty z Rostropowiczem. A styczeń 1988 r. przyniósł występy w Tuluzie w operze „Nabucco”, potem w Operze Paryskiej w „Borysie Godunowie”. W Lyonie występował w Audytoryum im. Maurice Ravela w „Luizie Miller” w „Aidzie”. W Operze Paryskiej w „Rigoletto” itd. itd.

Uff! Pisać się łatwo, ale trzeba być przynajmniej na kilku spektaklach w zachodnich operach, aby wiedzieć jak bardzo wyrobiona jest tu publiczność mająca dostęp do największych artystów świata i przez to nieco zepsuta. Recenzje dotyczące występów Romualda Tesarowicza były wspaniałe. Podkreślano zalety głosu, aktorstwa, techniki, pisanie, iż jest dopiero na początku wspaniałej kariery, a przecież jest



Medale, odznaczenia... Drugi z prawej Roger Grivel, przewodniczący Towarzystwa France-Pologne, wielki przyjaciel Łodzi i łódzkiego Teatru Wielkiego.

Foto: Chwałisław Zieliński

Dlaczego Romualdowi Tesarowiczowi nie wolno po Francji podróżować autokarem?

Zaproszenie do Kanady i na wyspy Morza Karaibskiego

MALGORZATA KARBOWIAK

już tak dobry. I oczywiście były owacje. Do tego publiczność francuska, jak mówi Romuald Tesarowicz, jest inna niż włoska, choć również zna się na muzyce, ocenia wszystko bardziej powściągliwie i trudniej zasłużyć na pochwały.

3.

No i w którymś momencie przyszła pora na występ w „Nabucco” z macierzystym łódzkim zespołem, który prezentował się w ramach Festiwalu Kultury Polskiej organizowanego przez Towarzystwo France-Pologne i jej prezesa przewodniczącego, Rogera Grivela w dniach 4–20 grudnia 1988 r. w kilku miastach południowej Francji, m.in. Lyonie, gdzie trzeba było zorganizować na życzenie publiczności dodatkowy występ, w Chalon nad Saoną i Saint Etienne. Na początku był spektakl w Voiron, zorganizowany przez paryską agencję „Divastudio” prowadzoną przez niezwykle dynamicznego Clementa Garbisu. Jak to naprawdę wypadło, mimo że każdemu spektaklowi kilkutygodniowa widowna zapewniała zawsze owacje — w opinii człowieka, który tu śpiewał, i wcześniej, i to na zasadach gościnnych występów — Romualda Tesarowicza?

Powiedzmy najpierw to, iż spektakl „Nabucco”



Łodzianie po jednym ze spektakli w Lyonie. Od lewej dyrektor Sławomir Pietras, dyrektor Andrzej Straszynski, mer Lyonu, Ryszard Tesarowicz.

Foto: Chwałisław Zieliński

Kiedy takie słowa mówi człowiek, który nazajutrz z St. Etienne jechał do Paryża, aby rozmówić się ze swoim francuskim impresario co do dalszych planów a potem do Bonn, by także zamienić dwa słowa na temat swojej dalszej przyszłości, utrzymujący się w żelaznej dyscyplinie gwiazdor Romuald Tesarowicz, to znaczy to na pewno wiele. Tym bardziej, że o wielkim prestiżowym i artystycznym znaczeniu tej imprezy mówili w bezpośrednich moich korespondencjach z trasy ambasador PRL w Paryżu — Janusz Stefanowicz i towarzyszący nam przez cały czas — konsul generalny PRL w Lyonie — Stanisław Topa i konsul — attache kulturalny — Krzysztof Kwiecień.

Ale aby obraz tego wyjazdu, który nie waham się uznać za jeden z najważniejszych w dziejach łódzkiego Teatru Wielkiego ze względu na przełamanie barier nieufności w trudnych latach osiemdziesiątych między obydwojma państwami, był w miarę wyrazisty i zarysowany mocnymi konturami, trzeba także odnieść się i do imprez pozakulturalnych, a przecież oddających klimat tego przedsięwzięcia na 187 osób, cztery autokary i kilka TIR-ów z dekoracjami.

4.

Miasto Lyon, jak by nie było konkurujące z Marsylią o miano drugiego po Paryżu we Francji, a jednego z pierwszych pod względem aktywności kulturalnej — dysponuje poza Operą liczącą sobie mniej więcej trzy wieki, jeszcze m.in. Audytoryum im. M. Ravela. W czasie premiery musicalu „Błękitny zamek” w foyer Teatru Wielkiego w Łodzi wisił niezrównanej piękności plakat zapowiadający łódzkie występy w niezwykłym wnętrzu Audytoryum im. Maurice Ravela. Do garderoby tej wspaniałej sali można było przejść w piżamie z supernowoczesnego hotelu połączonych schodami ruchomymi z największym centrum handlowym w Europie. Artystki, dziewczęta z chóru i członkowie orkiestry, i w ogóle najwyczajniejsi śmiertelnicy, mogli robić drobne zakupy prawie nie spuszczaając oka z tego, co się działo na scenie starannie przysposobianej pod okiem scenografa prof. Mariana Kołodzieja do dramatu dziejącego się ileś wieków temu w Babilonii. Jeszcze pewnie bardziej dziwiłby się ten, kto wszedłby tam pierwszy raz. W nowoczesnie wyposażonym pokoju hotelowym (w łazience specjalny nawet do osuszania ciała po prysznicu, mokrych włosów czy też wypranych przed chwilą jedwabnych koszulek) nie było... szafy. Naprawdę. Po prostu nowoczesne myślenie projektanta szło w tym kierunku, by umocowując na całej szerokości pokoju specjalną półkę, pod nią wieszając na kolorowych ramiączkach swoje toalety przedpołudniowe i wieczorowe, co stanowiło... niezwykle piękny akcent dekoracji wnętrza.

Czego ci Francuzi nie wymyślą! Nie wiem czy poza Romualdem Tesarowiczem ktoś potrafi wymienić więcej niż pięć gatunków wina, choć dyr. Sławomir Pietras świetnie sobie ze wszystkim radził. Rzecz jednak w tym, że fundując sobie np. w mieście wielkości Zgierza salę widowiskową na kilka tysięcy miejsc — myślał tu o przepięknym Voiron położonym dziesięć kilometrów od Grenoble. Francuzi mieli z głowy wszelkie kłopoty z upowszechnianiem sztuki. Na plakatach widniały zapowiedzi spektakli „Carmen” czy „Traviata” w wykonaniu najlepszych zespołów europejskich, a z wyjątkowo pięknym portretem uśmiechała się do nas Juliette Greco. Tam zresztą, w tym pięknym foyer agencja „Divastudio” wydała bankiet „na tysiąc dwadzieścia fajerek” i pierwszy raz w życiu widziałam, iż nie znalazł się nikt, kto by był w stanie spróbować choć po troszku wszystkiego. To był zresztą wyjazd niezmiernie bogaty w bankiety, spotkania, kokiety i towarzyskie spotkania, co oznaczało, iż szef łódzkiej opery w opinii Francuzów trzyma się dobrze, co potwierdził zresztą zaproszeniem Teatru aż do Kanady i na wyspy Morza Karaibskiego. No co — radny Sławomir Pietras ma swoich zwolenników nie tylko w Łodzi.

5.

Ale mówiąc o niezliczonych spotkaniach, temu końcowemu towarzyszyła nawet polonijna kapela „Mazur”, bo w mieście St. Etienne znajduje się siedmiotysięczne skupisko Polonii, nie powinnam zapomnieć o czymś, co dane zobaczyć jest tylko niektórym. 8 grudnia każdego roku w Lyonie (świadomie tak skaczą po wszystkich miejscowościach) obchodzone jest jako rocznica święto organizowane na znak uwolnienia miasta przed czterystu laty od strasznej zarazy. Na pamiątkę tego dnia pali się we wszystkich oknach świeczki, a cały Lyon wyrusza na ulice, by bawić się do samego rana. Widziałam to cudownie oświetlone miasto, bowiem konsul — Krzysztof Kwiecień pokazał to z okien swojego samochodu, ale niezmiernie ważną częścią wieczoru było przyjęcie, jakich mało.

Trochę przypominało mi ono sceny z „Alicji w krainie czarów”, ale nie tyle miejscem akcji, ile niezwykłą poetyką. Oto na zapleczu wspaniałego sklepu cukierniczego przy wygaszonych piecach i wielkim stole obitym blachą, przy niezmiernych ilościach szampana i kilku gatunków win, maleńkich sandwiczach o przepysznych smakach i słodkościach firmowych wszelkiego rodzaju, odbywał się na stojąco bankiet z udziałem najwyższych władz miasta Lyonu, przedstawicieli konsulatu, prezesów różnych towarzystw itd. Przemówienia nad wygaszonym paleniskiem miały smak niezwykle a popijane wspaniałym winem przekonywały jak nigdy wcześniej i jak nigdy potem goraco o wieczności i trwałości przyjaźni Polaków i Francuzów.

I powiem szczerze — choć były i inne spotkania i bankiety, może nawet bardziej uroczyste, ten był najwspanialszym hołdem złożonym przez miłośników sztuki polskim artystom. Byłam szczęśliwa, że jako sprawozdawczyni mogłam temu towarzyszyć. Naprawdę!

1.

Pani Maria wierzyła do niedawna w ludzi. Teraz, zdruzgotana psychicznie po zatargu z własnym dyrektorem, przestaje wierzyć nawet tym, którzy jej dobrze życzą. Nie może wciąż zrozumieć, jak to się stało, że osoby przez lata szanowane i sympatyczne, stały się dzisiaj dla niej moralnie odrażające.

Przed 12 laty, kończąc studia polonistyczne, pani Maria napisała pracę dyplomową na temat dramaturgii Sławomira Mrożka. Była więc z pozoru obeznana z absurdem, a mimo to, gdy spotkała ją dramat niewiele mniej absurdalny, a na dodatek boleśnie rzeczywisty — poczuła, jak bardzo nie jest nań przygotowana, jak czuje się bezbronna. Wiera w ludzką dobroć, ufność w stosunku do bliźnich, dawanie im możliwości samodzielnego działania — wszystko obróciło się przeciwko niej. Odkryła to dosłownie w ciągu jednego dnia, 12 sierpnia 1988 r., gdy wróciła po urlopie do Łodzi. Tego dnia wezwał ją dyrektor i powiedział mniej więcej tak:

— **Możesz sobie poszukać innej pracy.**

Mógł tak powiedzieć, bo ona i dyrektor byli jeszcze wtedy na „ty”. Dziś, jeśli muszą, mówią o sobie w trzeciej osobie, ale nie bezpośrednio, tylko bokiem do siebie, a twarzą do Wysokiego Sądu. Poza salą rozpraw nie mają już do rozmów okazji. Gdyby zaś mieli, nie znaleźliby pewnie innego tematu, jak ten, zaopatrzony w węzeł wzajemnych animozji, że ona go oskarża o niesłuszne zwolnienie, z czystej zawiści, tylko i wyłącznie za to, że dawała swoim ludziom godziwie zarobić; on zaś ją oskarża, iż była nie fair, bo pozwoliła swym podwładnym zarabiać kosztem zakładu. Ten węzeł nazbyt jest jednak spleciony na rozmowę bez gniewu. Ponieważ zaś oboje są ludźmi wysokiej kultury, pozostaje się tylko sądzić.

12 sierpnia 1988 r. daleko było wszakże do procesowania się w Sądzie Pracy. Pani Maria zaledwie się dowiedziała, że dyrektor stracił do swojej kierowniczkii zaufanie, dlatego ją zwalnia. Był to prawdziwy szok, dla niej. To prawda, iż jej stosunki z dyrektorem nie były ostatnio tak dobre, jak niegdyś. Cały jej dział znalazł się pod obserwacją — zauważała to. A przecież wróciła z urlopu pełna sił i energii. Pewna — jeszcze, pomimo wszystko — swojego dyrektora, a nade wszystko pewna swych ludzi, pracujących wydajnie i uczciwie, którzy w razie czego staną za nią murem.

Tak wówczas myślała, i dzisiaj nie bez satysfakcji zauważa, iż przynajmniej co do własnego działu nie pomyliła się za bardzo. A jednak sądzi, że była trochę naiwna. Mogła oczekiwać tej niespodzianki. Chociaż... — namyśla się nad tym kolejny raz — nie mogła się jednak spodziewać, że przekroczone zostanie pewna granica. Ścisłej — precyzyjnie — że akurat ten człowiek ją przekroczy. Nigdy się tego po nim nie spodziewała. Nigdy.

Pozostaje jednak prawda, iż wypowiedzenie nie spadło nagle z nieba. Nad działem pani Marii od tygodni zbierały się chmury. Zaufania nie traci się przecież z dnia na dzień.

Żeby to wszystko w pełni zrozumieć, trzeba cofnąć się do czasów, gdy zaufanie dyrektora było dopiero do zdobycia, a nie do stracenia. Początek został zrobiony przed 8 laty, gdy pani Maria przejęła dział poligraficzny w łódzkim Zakładzie Elektronicznej Techniki Obliczeniowej (ZETO).

2.

Pani Maria, jak przystało na polonistkę, lubi barwne określenia. Wspomina zatem, że poligrafie ZETO przejęła w zgłuszcach. Nie było ludzi, nie prowadzono dokumentacji, nie wpływały zlecenia z zewnątrz, stały zaledwie jedna czy dwie maszyny. Zakasała rękawy, szarpała się o papier i nowe zlecenia, walczyła o fundusze na nowe fotokopiarki, zszywarki, przyjmowała — w miarę, jak rozrastał się dział — nowych pracowników, rozbudowywała zecernie, intrologatarnie, aż w końcu zrobiła się w ZETO prawdziwą, nieźle wyposażoną drukarnią.

Jeszcze w ostatnich tygodniach przed wypowiedzeniem pani Maria starała się o nowe maszyny i o trudno dostępny, drogocenny dla poligrafii papier (który — zauważa — tnaczej już nie daje się załatwić jak tylko poprzez znajomości, „po uważaniu”). Tak było, nikt chyba w ZETO nie zaprzeczy. Klienci spoza ZETO również bardzo ją chwala, za wyjątkowo szybkie załatwianie zleceń, za solidność w dotrzymywaniu terminów. To nie są słowa pani Marii. Takie są opinie klientów, przestraszonych teraz rychłą perspektywą jej odejścia.

Wreszcie i sam dyrektor do spraw produkcji i rozwoju, aby mógł stracić do swojej kierowniczkii zaufanie, musiał się najpierw do niej przekonać. Przekonał się widać dostatecznie mocno, skoro był jej zwierzchnikiem przez lat osiem, utrzymując z nią przez większość tego czasu więcej niż poprawne stosunki. Był uprzejmy, miły — przyznaje pani Maria. Znali się zresztą nie tylko z pracy. Pan dyrektor był swego czasu gościem w jej domu, gdzie przyjmowała go wraz z mężem. Byli naprawdę dobrymi znajomymi.

To wszystko prawda, potwierdza dyrektor. Pani Maria jest kobietą atrakcyjną, elokwentną, potrafiącą błyszczeć w towarzystwie. To prawda, że miała duże zasługi w zdobywaniu wciąż nowych zleceń, co powiększało zyski działu i całej firmy. Umiała załatwiać trudne sprawy, potrafiła ująć klientów. W marketingu naprawdę odnosiła sukcesy, dyrektor tego nie kwestionuje. Miała też jednak — szuka odpowiednich słów — pewną słabość. Tą słabością — formułuje wreszcie — była buchalteria, rachunki, sprawy finansowe, czy tak to nazwać. Czasami wydawało się dyrektorowi, że pani Maria unosi się po prostu ponad finansami. Takie miał wrażenie.

Nie zwolnił ją jednak za niejasne wrażenia. Zarzut był konkretny: **ukrywanie przed dyrektorem korzyści dla pracowników działu poligrafii współpracujących ze spółdzielnią „Siódemka”**

3.

Współpraca ta rozpoczęła się w czasie, gdy dział poligrafii w ZETO był już od roku samodzielny finansowo, mogąc też przyjmować zlecenia z zewnątrz, od innych przedsiębiorstw i instytucji. Samodzielność działu, na którą zde-

cydowała się pani Maria (za namową i aprobatą dyrektora) była krokiem ryzykownym, ale koniecznym. Miał to bowiem być sposób na wyższe zarobki Poligraficy z ZETO potrafili już drukować uniwersyteckie skrypty, lecz zarabiali o wiele mniej niż ich koleżanki i koledzy z innych, większych drukarni. Po kilkanaście tysięcy złotych. Byli więc niezadowoleni, grozili odejściem z pracy.

System premii wydajnościowej, przyjęty w ramach samodzielnosci finansowej działu w 1985 r. był dosyć prosty: pracownicy otrzymywali premie w łącznej wysokości 25 procent sprzedaży usług netto. Zatem: im więcej zamówień, tym wyższa sprzedaż, tym lepsze zarobki. Zrozumiałe, że pani Maria miała dodatkowy powód, aby zabiegać o nowe zlecenia. Zabiegała, jak potrafiła najlepiej.

Jednakże rezultaty, choć początkowo zachęcające, okazały się w sumie nienadzwyczajne dla pracowników. Nie szło wcale o to, że nie było odpowiednio wysokiej sprzedaży. Owszem, była. Coraz wyższa. W rok po wprowadzeniu nowego systemu, wykonano plan sprzedaży w wysokości 9 mln zł. W 1987 r. nastąpił ponad dwukrotny skok — do 21 mln zł (o 3 mln zł więcej niż przewidywał plan). W 1988 roku „wysmażono” w dyrekcji plan na 28 mln zł wartości

dostrzec, iżby „Siódemka” narzuciła niezbyt korzystne dla ZETO warunki umowy.

Dlaczego umowa z „Siódemką” miała być wybawieniem? Ponieważ w tej studenckiej spółdzielni obowiązuja nieco inne zasady finansowe. Stanowią one, że do kieszeni pracowników trafia nie 25 procent (jak w ZETO), lecz aż 40 procent od sprzedaży usług netto. Stąd już prosty wniosek: za taką samą pracę otrzymają z „Siódemki” więcej pieniędzy niż z ZETO.

Czy aby nie dopingowało ich to czasem do „wypychania” oficjalnej roboty na drugi plan, za ważniejsze traktując zlecenia z „Siódemki”? Poligraficy twierdzą, że nie. Plan coraz bardziej był wyśrubowany, więc choćby chcieli, nie mogli nie przestrzegać zasady: „prywatne” zlecenia — po godzinach normalnej pracy. Dyrektor natomiast podejrzewa, że od początku nie trzymali się zbytnio tej zasady.

5.

W maju 1987 r. doszło do pierwszego poważnego zatargu.

Powody — zdaniem dyrektora — były co najmniej dwa. Po pierwsze: dział zbyt mało zarobił „oficjalnie”, co wymownie miało świadczyć o tym, że skupiono się raczej na zleceniach z

Zrobiła to, do czego namawia obecny rząd

Kara za przedsiębiorczość

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

spółdziej. Nikt nie twierdził, że nie zostanie wykonany.

Sukcesem w sprzedaży usług nie towarzyszył wszakże sukces w wymiarze zarobkowym. Sprzedaż rosła, a premii — w niektórych miesiącach — po prostu nie było z czego wypłacać. Paradoxs? Bynajmniej.

Tajemnica tkwi w samodzielnosci finansowej działu. Samodzielnie, całkowicie na własny rachunek, znaczy teraz, że trzeba uwzględniać w całości nie tylko dochody, ale i wydatki. Nie tylko wydatki na place, ale i wydatki na papier, na konserwację maszyn. Również na ich remonty.

Trzy lata temu zaszła konieczność pilnego remontu powłacza offsetowego. Kosztowało to prawie pół miliona złotych. Koszty te początkowo miały być wliczone w fundusz ogólnozakładowy ZETO. Później dyrekcja zmieniła zdanie, godząc się jedynie na przesunięcie terminu solat należności za przeprowadzenie remontu. Solata przypadała na I kwartał 1988 r., powodując od razu drastyczne obniżenie się premii. Zarobki znów spadały, niezadowolone wzrosło.

Wtedy przyszło wywołanie w postaci namawiania współpracy ze spółdzielnią „Siódemka”.

Umowę podpisano w kwietniu 1986 roku. Przewidywała ona, że oprócz poważniejszych, „oficjalnych” zleceń dla ZETO, „Siódemka” wykonać będzie zlecenia indywidualne, drobniejsze, dla poszczególnych pracowników działu poligrafii. Te dodatkowe prace wykonywane będą wprawdzie na maszynach należących do ZETO, lecz po godzinach normalnej pracy działu „Siódemka” zobowiązała się finansować opłaty za dodatkowe użytkowanie pomieszczeń, a także płacić za amortyzację maszyn i urządzeń ZETO, w proporcji do ich wykorzystania na własne potrzeby. Dla jasności, wszystko to było wiadome dyrekcji, która wówczas nie zdolała jakoś

„Siódemki”. Po drugie: dyrekcja doszła do wniosku, że formy rozliczeń z „Siódemką” są dla ZETO dość niekorzystne. Dyrektor nie przytacza wprawdzie na potwierdzenie tego konkretnych ale jest pewny, że „Siódemka” robiła ich wszystkich (tzn. ZETO) w konia. Zresztą, gdyby miał czas, mógłby to wyliczyć, bo jest to jednak trochę skomplikowane. Pani Maria, choć podobno „unoszą się ponad finansami”, otwiera na taki zarzut zeszły z wyliczeniami. Ile i za co „Siódemka” zwróciła pieniędzy. Co zaś się tyczy nazbyt niskich płac w dziale, pani Maria tłumaczy to ciekawym chwilkowo portfelem zamówień, bo szukano intensywnie nowych, rękujących większe zyski klientów.

W maju 1987 roku dyrektor spotkał się z działem, i wstrzymał współpracę z „Siódemką”. Rozpoczął się lament, lecz na placu się nie skończyło. Wzięli się wreszcie do pracy, wspomina dyrektor. Napłynęły zamówienia, i widać było jak na dłoni, iż plan zostanie w pełni wykonany — tłumaczy pani Maria. Zadowolony z wyników pracy dyrektor spotkał się z działem po raz drugi, w czerwcu. Pogratulował sukcesu, co do tego wszyscy są zgodni. On także.

Potem natomiast wypowiedział słowa, które zostały niestety, opacznie zinterpretowane. Taką jest opinia dyrektora, bowiem poligraficy twierdzą po prostu, że dyrektor, wobec jasnej perspektywy wykonania planu, zezwolił im na kontynuowanie współpracy z „Siódemką”. Sa w tej opinii zgodni jak jeden mąż. Przed Sądem również.

Jeżeli siedem osób twierdzi stanowczo, że jedna osoba powiedziała „A”, to bardzo jest trudno tej osobie przekonać innych, że akurat powiedziała „B”, chociaż to ona z reguły najlepiej wie, co naprawdę powiedziała.

Dyrektor uniera się, że nigdy majowej decyzji nie odwoływał. Mówił co prawda o takiej możliwości, lecz uzależniał ją nie tylko od wykonania planu, ale także od zmiany, niekorzystnych dla ZETO, zasad rozliczeń z „Siódemką”. Któż mógłby zmienić te zasady? Wiadomo —

dyrekcja. Czemu więc nie zatroszczono się o to? Nie wiadomo. Być może jednak dlatego, że dyrekcja nie wiedziała już potem o jakiegokolwiek współpracy z „Siódemką”, poza zwykłymi, na normalnych zasadach zleceniami.

Współpraca mimo to trwała w dalszym ciągu. Na podstawie ustnej decyzji dyrektora, wypowiedzianej na czerwcowym zebraniu całego działu. Skoro była to decyzja tak korzystna, czemu nie spróbowano uzyskać jej na piśmie? Z szacunku dla dyrektora, odpowiada pani Maria. Uważała, że nie wypada podsuwać mu do podpisu decyzji, którą sam, z własnej woli, wypowiedział oficjalnie na zebraniu. Byłoby to dla niej równoznaczne z aktem niewiary w dyrektorskie słowo. To słowo, które było dotąd fundamentem lojalności działu. Było święte.

6.

Wchodzimy teraz w okres paradoksalny: trwa współpraca, o której rzekomo nikt w zakładzie nie wie, poza oczywiście zainteresowanym działem, chociaż wymaga ona zostawiania po godzinach i wydłużonego korzystania z maszyn. Jej efektem są dodatkowe pieniądze, o których ZETO jest informowane, zgodnie z obowiązującymi przepisami, wykazami zarobków, nadsyłanymi przez „Siódemkę”. Zdaniem kierownika kadru w ZETO, były to jednak informacje „fragmentaryczne”, nie pozwalające na orientację co do rzeczywistej skali dodatkowej pracy. Równie dobrze, utrzymuje dyrektor, wykazy te mogły świadczyć o pracy chałupniczej, a nie w ZETO.

Żeby było ciekawiej, w okresie od czerwca 1987 r. do początków 1988 r. przedstawiciele „Siódemki” spotykali się z dyrektorem ZETO, omawiając wspólne interesy! Widocznie w czasie tych spotkań nie omawiano akurat sprawy indywidualnych zleceń. Szkoda, bo trudno było znaleźć stosowniejszą okazję do wynegocjowania lepszych warunków współpracy z działem pani Marii. Trochę też i dziwne, że przecież — zgodnie z oświadczeniami szefów „Siódemki” — również i oni nie wiedzieli nic o tym, iż umowa z działem poligrafii przestała już dawno obowiązywać.

Zaszło więc jedno z dwojga: albo wszyscy o wszystkim wiedzieli, wbrew temu, co twierdzi dyrektor ZETO, albo mamy do czynienia ze swego rodzaju tajną umową, pomiędzy działem poligrafii ZETO a „Siódemką”. Ścisłej biorąc, byłaby to umowa zawierana przed 3 laty w warunkach jawności, która weszła od czerwca 1987 roku w stadium utajnienia.

Jakkolwiek nie było, w maju 1988 r. nastąpił prawdziwy wstrząs. Spowodowało go pismo, wystawione przez dyrektora z datą 3 maja: „Wobec stwierdzenia faktów użycia maszyn poligraficznych w podległym Obywatelskim dziale do wykonywania obcych zleceń bez powiadomienia i zgody dyrektora ZETO, przypominam o bezwzględnej konieczności wykonywania jakiegokolwiek prac na rzecz jednostek trzecich bez dyspozycji Dyrektora”.

Od tego momentu wydarzenia potoczyły się szybko.

Pani Maria poszła do dyrektora po wyjaśnienia. Usłyszała, że nigdy nie dawał żadnego zezwolenia. Musi jeszcze dokładnie zbadać tę sprawę, ale już teraz widzi, że nastąpiło poważne naruszenie obowiązków pracowniczych. Jest to właśnie sprawa kwalifikująca się do Sądu. Pani Maria opuściła gabinet z dużymi wypiekami.

Od 5 lipca 1988 poszła na urlop. Wróciła, a tu od razu zwolnienie. Z 3-miesięcznym okresem wypowiedzenia.

7.

Co sprawiło, że dyrekcja ocknęła się dopiero w maju, w rok po cofnięciu zgody?

Pani Maria i większość jej podwładnych, wśród których jest także przewodniczący zakładowej organizacji związkowej, są w zasadzie jednomyślni: powodem była zawiść. To ona sprawiła, że zdecydowano się ostatecznie przerwać współpracę z „Siódemką”, o której — za pewniają — wszyscy doskonale wiedzieli. Pozazdrośczone oczywiście wysokich zarobków. Dowiedziono się o nich ze zbiorczego wykazu, jaki dotarł do ZETO z „Siódemki” w początkach 1988 roku. Najwyższe, wyszczególnione w wykazie zarobki, opiewały na sumę 1,5 mln zł. Brutto, na jednego pracownika, za okres 18 miesięcy. Po odliczeniu podatków, tłumaczy pani Maria, wyjdzie to mniej więcej ok. 800 tys. zł na 18 miesięcy. Kto chce, może sobie podzielić.

Nie od rzeczy będzie dodać, że te najwyższe dodatkowe zarobki nie dotyczyły pani kierownik. Ona miała z tytułu współpracy z „Siódemką” 26 tys. zł średnio w miesiącu.

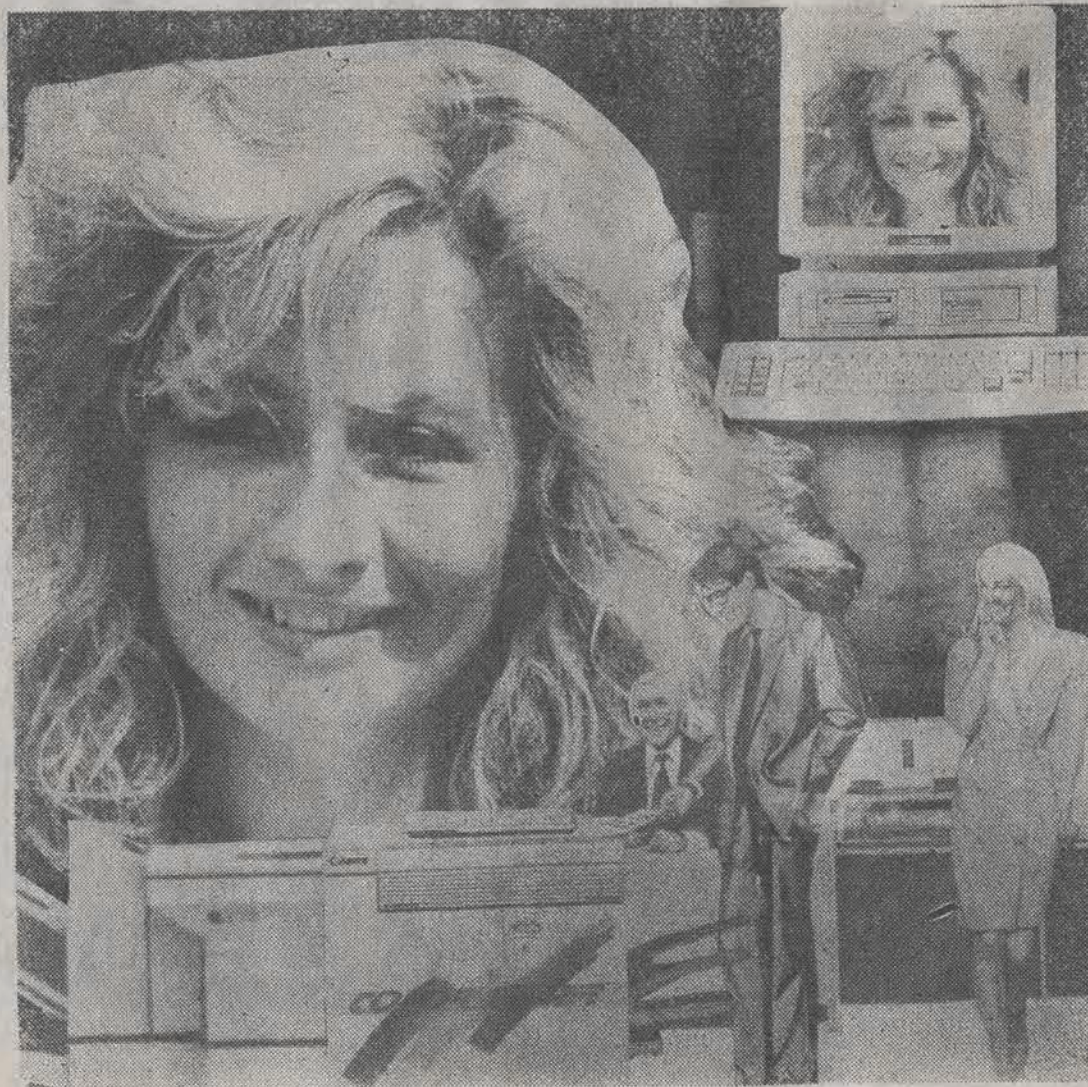
Dyrektor nie podejmuje dyskusji na temat zawiści. Oczywiście, zwrócono uwagę na spore sumy. Za duże, jak na pracę chałupniczą. W sam raz, jak na samowolne kontynuowanie umowy z „Siódemką”.

Rozpoczął się proces. Nie wytoczył go jednak dyrektor, lecz pani Maria. Domaga się przywrócenia do pracy. W charakterze świadków zjawili się w Sądzie wszyscy pracownicy poligrafii, cały dział.

Dział odbywa się na razie bez kierowniczkii. Ludzie, pozbawieni dodatkowych zarobków, kombinują na różne sposoby, żeby zarobić. Niektórzy zapowiadają, że wkrótce odejdą.

„Siódemka” wpłaciła na konto ZETO 550 tys. zł — za amortyzację maszyn oraz 414 tys. zł — za użytkowanie pomieszczeń w 1987 r.

Pani Maria powiada, że zrobiła to tylko, do czego namawia obecny rząd. Była przedsiębiorca, dała ludziom zarobić.



Collage: Grzegorz Gałasiński

P.S. Sprawa pani Marii rozpatrywana była w Sądzie Pracy na pięciu rozprawach, od 30 września do 16 grudnia 1988 roku. Zakńczyła ją ostatecznie ugodą: pani Maria zdecydowała się odejść z zakładu, zaś dyrekcja ZETO zobowiązała się do wycofania wypowiedzenia. Uгода nastąpiła z inicjatywy powódki, uderzonej kolejnymi terminami rozpraw, bez wyraźnej perspektywy finału. Zapadła pod nieobecność dyrektora nacelnego ZETO, który — wezwany na świadka — nie stawiał się. Pani Maria nazwała ugodę „przynusowym zwycięstwem”, które przypłaciła chorobą serca. O swych byłych podwładnych z działu poligrafii mówi jeszcze: „moi” pracownicy...

handlarze cenią po dziesięć, ruble po dwadzieścia tysięcy.

A zatem policzmy. Pięćset rubli w srebrze to... Tym razem kalkulator spał się bez zarzutu: pięć milionów złotych!

Przymykam oczy... Robię skok w przeszłość o dziewięćdziesiąt lat. Jak najprędzej do banku, póki wymieniają. Najbliżej mam do Azowsko-Donskowskiego Komercyjnego Banku w pasażu Meyera. Tramwaje elektryczne jeszcze nie kursują, pierwszy wyjazd na ulicę Łódź dopiero za kilka miesięcy. Ale jeździ tramwaj konny. Biegne na przystanek przy ul. Zgierskiej, wsadza do wozu. Wóznica strzela z bata — i wio, jedziemy.

Już jestem na miejscu. Podaję kasjerowi mój skarb, mówię, że chcę go zmienić na brzęcząca moneta.

— Złoto?

— Nie, poproszę o srebro.

Ciepłą rączką odlicza pięćset monet z wizerunkiem młokoświe panującego Mikołaja II. Są tu i wcześniejsze ruble z podobizną cara Wszechrosji Aleksandra III. Dobrze, że brałem z sobą sakwojaż. Kieszonki nie pomieściłyby dziesięciu kilogramów srebra.

— A co będzie, jeśli przyniosę do wymiany złote ruble? Czy otrzymam więcej w banknotach? — pytam z głupią frant.

— Przy większej sumie otrzyma pan mniej. Złote ruble są z miękkiego kruszcu, szybko się ścierają, uderzając z ręką do ręki. Gdy ich waga nie odpowiada normie, potrącamy z ubytki. Ale niech się szanowny pan nie martwi, to mogą być kopiejkowe różnice.

Kasjer jest sympatyczny. Może to ten sam, o którym zachowała się pyszna, pouczająca anegdota?

Do banku przyszedł klient i podał większą sumę. W domu stwierdził, że wyplacono mu o sto rubli za dużo. Klient był uczciwy. Wrócił do banku i wręczył kasjerowi nadpłatę, ale ten jej nie przyjął, oświadczając, iż wypłacił co do kopiejki tyle, ile się należało. Nie pomógł perswazje, kasjer kategorycznie upierał się przy swoim. Po prostu bał się, że gdy historia dotrze do dyrekcji, może stracić posadę. Wolał więc wybić z własnej kieszeni, jakby nie było pokaźną sumę, byle tylko zachować opinię nieomylnego pracownika.

Opuszczam bank obładowany, ale uszczęśliwiony. Jak uciąć tę transakcję? Na duchu już się pokrzepiłem, teraz ciało domaga się swego. Kiszki grają marsza, trzeba coś wrzucić na ruszt. Ale gdzie? Może na Dworcu Fabrycznym? W bufecie kolejowym za pięćdziesiąt kopiejek dostanę sto gramów wódki, a na zakaske do wyboru — porcję kawioru astrachańskiego, pieczoną kurę czy rybę smażoną. Lecz czy nie stać mnie na coś lepszego? W restauracji za rubla czeka mnie obiad z pięciu dań. Nie, wybiorę się do najelegantszego lokalu!

Wybór pada na wytworną restaurację w stojącym już dziesięć lat Grand-Hotelu. To niedaleko, raptem sto metrów. Idę i stać jak wryty: jak miżernie ten hotel wygląda! Niski, wszystkiego dwa piętra. No tak, przypominam sobie, po pożarze dobudują dalsze dwa piętra, a po wyzwoleniu jeszcze jedno, piąte.

W progu sali jadalnej wita mnie zęty w pół maitre d'hôtel i prowadzi do stolika. Momentalnie zjawia się kelner. Z miną kniazia zamawiam wyszukane przystawki, aperitif, zupę zółwinią, zrazę po neapolitańsku. Place nieć rubli i zostawiam kelnerowi pięćdziesiąt kopiejek napiwku. Jest wniebowzięty.

— Dorożkę dla jaśnie pana?

Potakuję. Pikolak biegnie na róg i sprowadza dwukonne. Wąsaty dorożkarz w lot ocenia gościa.

— Kuda każe się jechać, wasze blagorodie? — wziął mnie na pewno za nadzianego kupca z Tuła, Samary czy innego Kurska, który przyjechał po łódzkie perkalki.

— Snaczała přímo Petrikow-

skoj, posile uvidim — wpadnąm w rolę.

Sadowię się wygodnie, blagość przenika mnie na wskroś. Beztroskiego nastroju nie mać nawet widok obok obok omibusów czekających po drugiej stronie ulicy na pasażerów jadących do Kalisza, Łęczycy, Łasku.

Dorożka toczy się nową jezdnią, wyłożoną drewnianą kostką. Piotrkowska tonie w półmroku, którego nie rozprasza nikt światło latarni gazowych. Właśnie facet, uzbrojony w długi kij zakończony haczykiem, zapala jedną po drugiej, a kilka dzieciaków biegnie za nim, wołając: „Lampa — fuk! Lampa — fuk!”, na co la-

ko zamiast zimnokrwistych ryb koło latarni piskietują, polując na klientów, pełne temperamentu wesołe dziewczynki.

Z rozzerwieniem apogładam na dom pod numerem 17. To tutaj, w poprzecznej oficynie na drugim piętrze, urodzę się za pięćnaście lat!

Ludzie wysypują się z bramy mojego domu. Właśnie skończył się seans w ulokowanym na podwórzu kinie „Iluzjon”. Szkoda, chętnie posłuchałbym „zapowiadacza”, tłumaczącego public, co się dzieje na rozpiętym prześcieradle. Bo obrazy migają, oczy nie mogą nadążyć za rozgrywającą się akcją. Bez pomocy „zapowiadacza” widzowie nic by nie zrozumieli. Mija nas bezczkórz z balia.

którą wkrótce po Wiedeńskim Kongresie otworzył minister Vögelli ze Szwajcarii, nadając jej cudzoziemską nazwę „Confissere”.

Dom oznaczony numerem 9. Plakat reklamujący występy Miss Oceanii, „nimfy wodnej”, i Miss Elli, „kobiety elektrycznej”. Dwa domy dalej wabił panie salon piękności paryskiej...

W nozdrza bije mdły zapach mięsa. No tak, jestem przecież przed jatkami Marceniego. Wyczulony wdech wywołuje jeszcze odrębną kośćkę nawozu, bo w bok od jatek, na Średniej, stacjonuje kawalerski pułk kozaków.

Z Rynku skręcamy w Średnią. Po kilkudziesięciu latach zmieniła ona nazwę na Pomorską,

cia mam za sobą i jestem... autentycznym milionerem! I to wielokrotnym. Nie wierzyć? No to posłuchajcie.

Pierwszymi pieniędzmi, jakie przewijały się przez moje ręce, były marki polskie, emitowane po odzyskaniu niepodległości, w latach 1919—1923 przez Polską Krajową Kasę Pożyczkową. Pamiętam je — czerwone, fioletowe. Na stronie głównej banknotów portret Tadeusza Kościuszki lub królowej Jadwigi.

Chodziłem wówczas do I klasy Gimnazjum Zgromadzenia Kupców m. Łodzi przy ul. Dzielnej (Narutowicza) 68. Ojciec co wieczór zostawiał mi określona sumkę na przejazd tramwajem w obie strony. Z

wymienić na nową walutę. Poprosiłem starszego kuzyna o wyreczenie mnie w tej transakcji. Za kilkanaście milionów marek dostałem bodaj niecałe dziesięć złotych, bo taka była relacja zdeprecjonowanej marki do nowej waluty: milion i osiemset tysięcy mpk. równe jednemu złotemu.

W obiegu pojawiły się banknoty o nominacjach: 1, 2, 5, 10, 20, 50, 100 i 500 złotych. A ponieważ mennica nie zdążyła na czas dostarczyć bilonu, wprowadzono zastępczo „bilety zdawkowe”. Grosz i pięć groszy to były przepołowione banknoty markowe z odpowiednim nadrukiem, natomiast bilety zdawkowe 10-, 20- i 50-groszowe drukowano normalnie, jak inne banknoty. Potem trafił do obiegu bilon: 1, 2, 5, 10, 20, 50 groszy, oraz srebrne i niklowe złotówki. Dwuzłotówki, pięć- i dziesięciozłotówki bito tylko w srebrze. Jakże to piękne monety! Popiersie dziewczyny z kłosami zboża, profil głowy kobiecej, profil głowy marszałka Piłsudskiego, żaglowiec na falach, Nike krocząca po chmurach, profil głowy króla Jana III Sobieskiego, popiersie Romualda Traugutta...

Reforma walutowa, przeprowadzona w 1924 r. przez premiera Władysława Grabskiego, pełniąc jednocześnie funkcję ministra skarbu, zdążyła egzamini, czemu w znacznej mierze sprzyjał wyjątkowo dobry rodzaj. Kurs dolara ukształtował się na poziomie zł 5,18, a chociaż po ponownym załamaniu gospodarczym w przemysle, handlu i rolnictwie dolar przekroczył barierę 10 zł, to w roku 1927 po poprawie sytuacji złoty ustabilizował się i do wojny kurs dolara wahał się w granicach dziesięciu złotych.

Złote można było wymieniać od ręki, bez żadnych ceregieli. W Łodzi działało wtedy 29 banków — poza państwowym spółdzielczym, przemysłowym, kupieckim, rzemieślniczym, rolniczym, a także prywatne domy bankowe, jak np. Braci Taub, Hieronima Schiffa, Braci Winter i Weissa, Józefa Hirszburga. Wszystkie na ul. Piotrkowskiej pod numerami: 17, 73, 77 i 24. Również pozostałe banki skoncentrowały się na Piotrkowskiej lub na przyległych ulicach.

O zbiciu milionowej fortuny nie mogłem nawet marzyć. Z trudem, wiązałem koniec z końcem, pracując jako początkujący reporter w „Expressie” bez stałej pensji, na gołej wierszówce. Za komorne w dwupokojowym mieszkaniu przy ul. Sienkiewicza 73 płaćmłem 175 zł miesięcznie. Gdyby nie pomoc teścia, poszedłbym z torbami.

Ale nie w naturze nie ginie. Po zakończeniu wojny, gdy powróciłem do kraju, znowu wpisałem się na listę milionerów. Macierzystą redakcją był wzniołony „Express”, jednocześnie pisałem korespondencje do „Życia Warszawy” i jako „rzecznik prasowy” Powszechnej Spółdzielni Spożywców też miałem stały dochód. Zarabiałem ponad sto tysięcy miesięcznie. Do tego doszedł potężny zastrzyk w postaci ponad dwóch milionów złotych za wydany przeze mnie album pt. „Wicek i Wacek”. Dodatkową satysfakcję sprawiał fakt, iż te powojenne złote, płynące szeroką strugą do mojej kieszeni, drukowała mieszczańska się wówczas w Łodzi Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych.

Nie trwa wiecznie. I tym razem szybko rozstałem się z statusem milionera. Z dniem 30 października 1950 r. banknoty opiewające na dotychczasowe złote przestały być prawnym środkiem płatniczym. Do obiegu wprowadzono nowy złoty, a wymiane przeniesiono w relacji: 1 nowy złoty za 100 dawnych.

Moje miliony zamieniły się z dnia na dzień w tysiące. Gdybym je ulokował w PKO, straciłbym mniej, bo wkład na książeczkach oszczędnościowych przeliczano: trzy nowe złote za sto starych. Ale ja, jak ów chłop w roli Jana Świderskiego, tak lubiłem ten szorsty banknotów... I chyba jak on biadoliłem:

— To jak to? Stare złote nie są ważne? Dotychczas były ważne, a teraz już nie?

ADAM OCHOCKI

Łódź: historia, wspomnienia, relacje

Z pełnym workiem srebraniczym kupiec z Samary

tarnik, odpędzając je kijem: „Diabeł swoją mamę tkuk!”.

Mijamy dwu- i trzypiętrowe kamienice. Między nimi pokutują parterowe domki drewniane tkaczy-chałupników. Okna na piętrach pootwierane. Chyba nie wyleją mi na głowę nieczystości? W miescie nie ma jeszcze kanalizacji, co bogatsi obywateli wynajmują „ostrzegaczy”, którzy kroczą przed nimi wołając: „Stę idzie! Stę idzie!”. Ale to przecież Piotrkowska, główna ulica Łódź! Na wszelki wypadek każdemu dorożkarzowi podnieść budę.

Która już może być godzina?

— Ej, izwoszczik! Skolko wremia? — zgrywam się dalej na przybysza z Rosji.

— Toczno dziewiat' wieczera, wasze blagorodie.

— Otkuda znajecie — dziwię się, bo wążacz nawet nie spojrzał na zegarek.

— Bład' gusto poszła — mówi, nie odwracając głowy.

To taki idiom w rodzaju naszego „ryba gęsto poszła”. Tyl-

Para bucha, jak z lokomotywy. To wędrowna łaźnia. Łazienki mają tylko nieliczne domy, a przecież trzeba od czasu do czasu wykąpać się. Wystarczy więc kiwnąć palcem z okna, a „banszczik” wnieśli nawet na drugie piętro balie, jego pomocnik kilka wiader wrzątku — i już można obmyć grzeszne ciało.

Wjeżdżamy na zaśmiecony do niemożliwości Nowy Rynek. Każę dorożkarzowi przystanąć. Muszę przecież zobaczyć, jak niemal przed wiekiem wyglądał dzisiejszy plac Wolności!

Szyny tramwajowe już ułożone. Nie okalają Rynku, przecinają go prostymi liniami — z Nowomiejskiej w Piotrkowską, ze Średniej w Trakt Konstantynowski, krzyżując się w miejscu, gdzie po latach stanie pomnik Tadeusza Kościuszki.

Obchodzę Rynek dookoła. Ratusz, a jakże stoi, a w domu obok: kino, klinika weterynaryjna bar, perfumeria Kulkowskiego i pierwsza łódzka apteka Karola Ketschena. A na rogu Traktu Konstantynowskiego — pierwsza cukiernia,

a jeszcze po kilkudziesięciu — na Marcellego Nowotki. Dorożka podskakuje na kociach łbach. Mijamy Wschodnią, dojeżdżamy do Widzewskiej, dzisiejszej Jana Kilińskiego. Na moje polecenie dorożkarz ściąga lejce w lewo i — hajda dwójka w górę Brzezińskiej!

— Dalsze nikuda — wążacz osadza konie w miejscu. — Niet drogi, wasze blagorodie...

Stoimy w szeregach polu. Dokoła szumią lany zboża, zielenią się kartofliska, pastuch zagania krowy do obory. Gdzie jest mój dom? Gdzie moja ulica Sporna?...

— Znowu zasnąłeś nad tymi swoimi papierzykami? — żona tarmosi mnie za ramię. — Daj mi pięć tysięcy, jutro zapłacę komorne.

— Tu masa rubla... Zapłać od razu za dwa miesiące... — mamrocząc, strzepując z powiek resztki snu. — Aha... — wręcam mojej ślubnej pięć tysięcy złotych za jeden miesiąc.

Chowam z powrotem ruble do szafy. Czas wrócić na ziemski padół. Od mojej „eskapady” po Łódź Anno Domini 1898 minęło ćwierć wieku, jest rok 1924, jedenasta wiosna ży-

początku po kilkadziesiąt marek, potem, w miarę pogłębiania się kryzysu, po kilka, kilkanaście, wreszcie kilkadziesiąt tysięcy. Nie pamiętam, ile kosztował bilet uczniowski w pierwszym okresie, ale pod koniec 1923 roku, gdy marka zapadła na galopujące suchoty, opłata za jednorazowy przejazd wynosiła chyba 180 tysięcy. Jak nie trudno obliczyć, mój stan posiadania zwiększał się co tydzień o ponad dwa miliony marek.

Nie jeździłem tramwajem. Z Zielonej 48 na Dzielną drałowatem per pedes, a zaoszczędzone pieniądze skrzętnie upychałem do szuflady. I wszystko byłoby cacy, gdyby nie to, że marka traciła na wartości już nie z dnia na dzień, ale z godziny na godzinę. Posiano mnie po chleb do piekarni z odliczoną kwotą. Gdy doszła moja kolejka, piekarni podwyższył cenę o kilkanaście tysięcy i musiałem wrócić po brakujące pieniądze. W domu kazano mi się spieszyć, żeby znowu nie musiał drapać się po piętach.

Inflacja narastała w szalonym tempie. To, co się dziś dzieje z naszą złotówką, to małe piwo w porównaniu z tamtymi czasami. Oto liczby świadczące o obłędnej destabilizacji marki. W końcu grudnia 1919 kurs dolara utrzymywał się na poziomie około 120 mpk. Wtedy marka miała jeszcze dobrą markę. Ale już w rok później, 31 grudnia, dolar osiągnął 600 marek, 31 grudnia 1922 — 17 850, a 31 grudnia 1923 — kosztował 6 milionów czterysta tysięcy!

W miarę narastania inflacji wypuszczano coraz wyższe nominały. Emisja z 25 kwietnia 1923 r. wprowadziła banknoty opiewające na 250 000 mpk, od września poczęły obiegać nominały w wysokości 500 tysięcy i miliona marek, a 20 listopada skierowano do obiegu banknoty pięcio- i dziesięciomilionowe.

Ogólna panika udzieliła się i mnie. Przysłuchując się utyskiwanom starszych, postanowiłem ratować, co się da. I któregoś dnia uszczupliwszy o połowę mój kapitał, zaprosiłem kolegę do „buźni” greckiej w parterowym domku drewnianym przy ówczesnej ul. Dzielnej (dzisiaj stół tu okazał dom mieszkalny z Klubem Międzynarodowej Prasy i Książki), „Buźnia” należała do pani Angielewicz, Greczynki. Pamiętam ją doskonale. Niska, kruczowłosa, gładko zaczesana, ze złotymi kolczykami w uszach. Kupiłem chyba kilogram chałwy czekoladowej, nugaty i inne specjalności, których nazw nie pamiętam, ale smak — doskonale. Efekt tej uczty lukullusowej był taki, że przez parę dni karmiłem się kleikami.

Reszta mojej fortuny przetrwała do 1 lipca 1924 r. Tego dnia marka polska przestała być prawnym środkiem płatniczym. Obowiązująca waluta stała się polski złoty. Na mocy wydanego dekretu nowa jednostka monetarna miała się nazywać „lech”, jednakże ustawą sejmowa dekret uchylono i wprowadzono do obiegu złoty. Stanąłem przed dylematem: co zrobić z resztkami mych milionów? Ano to, co inni —



A tak wygląda Grand Hotel dzisiaj

Foto: Grzegorz Galasiński

Światłowstręt

Dzień otwiera miasto naświetlając krew jak wyskokoczuły film. Oczy rozrywają się na setki kartek z kalendarza z jednakową datą. Urodziłem się we mgle a moją dziecięcą twarz przejechali pijani żołnierze wracający z wojny o prawo do krzyku. Noszę w sobie to bohaterstwo jak kropelkowe serce które bliższy w nocy gdy przykłada się do niego sodowe światło osiemnastu słońc.

Noc jest bezbolesna i noc jest pokorna; wchodzi pod skórę rzadkie czarne powietrze. Moje książki mówią innym językiem — kwasne Europy. Wieg czytamy twoją twarz jak odrętwiały księżyc liczy na współzucie. Jest mi wszystko jedno mam pękniętą wargę i boli mnie cały świat zamknięty w jednej twojej zmarszczce.

Półka z książkami

„DZIELA” KAPUSCIŃSKIEGO

Bestseller, który nie każdemu udało się zdobyć, a o którym od kilku tygodni bardzo głośno. Mówię o czterotomowym zbiorze utworów Ryszarda Kapuścińskiego, dziś chyba najpoczytniejszego naszego autora współczesnego. Znalazły się tu i „Buz po polsku”, „Cesarz”, „Szachinszach”, „Wojna futbolowa”, „Jeszcze dzień życia”, „Kirgiz schodzi z konia”, „Chrystus z karabinem na ramieniu” i wiersze o których mało kto wiedział, a które stanowią cykl pt. „Notes”. Tej pozycji nie ma potrzeby zachwalać, odnotować ją jedynie z obowiązku kronikarskiego, a tym, którym udało się ją zdobyć, składam gratulacje. Warto było walczyć o miejsce w kolejce przed księgarską ladą.

Ryszard Kapuściński: Tom I-IV. Czytelnik 1988. Cena 3.000 zł.

KONTREFORMACJA W POLSCE

Zapewne jest jeszcze w księgarniach zbiór szkiców Janusza Tazbira pt. „Szlachta i teologowie”. Jak pisze autor, zbiór ten „dotyczy konfliktów wyznaniowych w Polsce XV-XVII stulecia”. A więc, rodzenie się kontrreformacji i reakcja na nią Kościoła, pogromy, procesy czarownic, nietolerancja religijna, profanowanie cmentarzy i niszczenie świątyn innowierców. Wiele nieznanych faktów z rodzinnej historii i z historii Europy, kiedy argumentem w dyskusji były stos i ogień.

Janusz Tazbir: Szlachta i teologowie. Wiedza Powszechna, 1987. Str. 320. Cena 600 zł.

„DZIENNIK” GONCOURTÓW

Otrzymałmśmy wreszcie ową legendę i obrosły skandalami, słynny „Dziennik” Juliusza i Edmunda Goncourtów. Po raz pierwszy we Francji ukazał się on dopiero w 1956 r., a więc 60 lat po śmierci ostatniego z braci. Całość składa się z 22 tomów, my otrzymałmśmy skromny wybór w przekładzie Joanny Guze. Cóż to za lektura! Od Drugiego Cesarstwa po III Republikę. Wiele owych czasów: pisarze, aktorzy, politycy, sprawy polskie, Polacy...

Gorąco polecam te pasjonujące lektury. Edmund i Juliusz Goncourtowie: Dziennik. PIW 1983. Str. 608. Cena 1.200 zł.

Oprac.: E. IW.



Leon Gomolicki

27.VIII.1903 — 22.XII.1988.

„Z upływem mniej więcej czterech stuleci, już tu u nas, na Ziemi, po niezaprzeczalnej czolowej Wielkości (literackiej) pozostałe kilka szpał drobnego druku z wyliczeniem: a. wydanych utworów, b. znalezionych listów, c. napisanych o Wielkości rozpraw, doktorskich prac, monografi. Tak łatwo utrwalić w kadrach mikrofilmu lub na metalowej kliszy o wymiarach 10/8 m, ogniotrwałej, nieprzemakalnej i nie kruszącej się pod działaniem czasu. Ale jak utrwalić ducha tekstów (...)? Jak zachować ulotną esencję życia, złożoną jak skomplikowana chemiczna reakcja, jak długą receptę o tasiecowych nazwach tajemniczych leków?”

W tak na pół ironiczny, na pół żartobliwy sposób Pan Leon określał w jednej ze swych powieści los wszystkich Wielkości redukowanych do encyklopedycznej informacji. I choć przeto nie na miejscu byłoby powtórzenie tego mechanizmu, nie unikniemy tutaj konieczności wyciągnięcia z przywołania zasług Zmarłego.

Urodzony w 1903 r. w Petersburgu Leon Gomolicki po młodości spędzonej na Wołyniu i Podolu przeniósł się w 1931 r. do Warszawy. Debiutował jako poeta tworząc w języku rosyjskim. Z 9 Jego zbiorów poetyckich największe uznanie przyniósł Mu poemat Warszawa (1934) przetłumaczony przez Tuwima na język polski. Powtórnym debiutem poetyckim można nazwać tomik Czas spolegliwy wydany w Łodzi w 1957 r. Z Łodzi związał się Zmarły od 1945 r. Tu powstawały wszystkie jego literackie i prace historycznoliterackie (związane przede wszystkim z życiem i twórczością Mickiewicza i Puszkina). Utrwalił się wszakże Leon Gomolicki w świadomości odbiorcy jako niezwykle interesujący prozaik. Prozę Jego cechowała od początku rozpoznawalne sygnały — ogromna kultura literacka, która wykorzystywała dla uniwersalizacji współczesnych problemów i tematów, w prozie Leona Gomolickiego w pełni autograficzne są integralnie związane z kulturową wizją — nieobca katastrofizmowi — i przepojone refleksją psychologiczno-moralną i historyczną. Charakterystyczne dla tej prozy aluzje mitologiczne prowadzą do symboliczno-metaforycznych odczytań poszczególnych książek. Z bogatego dorobku prozatorskiego przypomnijmy bodaj część tytułów: Wieczory nad Łódką, Ucieczka, Uprawdzenie Baucis, Wyłączenie, Białe runo, Czasobranie, Kiermasz, Komiks psychologiczny, Wyprawa na Pajmos, Arka, Taniec Euryome, Dzikie muzy, Erotyk, Terapia przestrzenna, Róża i Walkiria.

W książkach tych niejednokrotnie próbował utrwalić „ducha tekstów” wprowadzając interesujące autotematyczne dygresje, lecz naczelną zasadą Jego twórczości było humanistyczne przesłanie, utrwalania „ulotnej esencji życia”. Podając nam — żeby użyć Jego wyrażenia — „zastawę wino humanizmu” był Leon Gomolicki humanistą i w swym życiu. Zwykły, choć trochę ironiczny, zdyscyplinowany i spokojny, był postacią charakterystyczną i swiatkową w naszym trochę burzliwym środowisku literackim. Do ostatniej chwili uczestniczył w tym literackim życiu, sama swoja spokojna i refleksyjna postawa temperując nazbyt żywiołowe spory, łagodząc konflikty, wprowadzając aury Autorytetu i przypomnienie, że literatura musi się wywklądać z temporalnych uzależnień, że jej miejsce jest także w sferze Zawsze i Wszędzie.

Książki Pana Leona będą żyły dalej zyskując obok szacunku odbiorczego także — jak andre — wzrastającą popularność. Niestety, nie będzie już wśród nas tego dobrego, mądrego Człowieka.

P. H.

Świat malarskich urzeczeń

W Klubie Dziennikarza czynna jest wystawa malarstwa Ireneusza Olszewskiego. Zgromadzone na wystawie obrazy artysty nazwał impresjami. I słusznie. W całym malarstwie Olszewskiego przewija się pewien charakterystyczny typ wrażliwości (chciałoby się powiedzieć: nadwrażliwości), który, jak się zdaje, skłania do refleksji i zadumy. Zadumy nad światem własnych urzeczeń — światem przyrody, ludzi, starych budowli. Z tej wrażliwości artysty wynika chyba wszelkie twórcze następowanie.

Dziś już rzadko kiedy zdarza się, aby stan ducha artysty w sposób tak czytelny znajdował jak wyraziste odbicie w jego dziele. Przywykliśmy do współczesnego świata sztuki — opalonej do perfekcji gry wyobraźni, wyrafinowanych kalkulacji uczuciowych, intelektualnych, w które „mózgowie” wprzęgają wywołane i ozięble idee artystyczne, w każdym szczególe plastycznego wyrazu podporządkowane wypracowanemu zamysłowi, w takim świecie pojawienie się dzieł tak przejmujących, w prostym wyrażeniu własnych stanów, owych, aż nadwrażliwych, uniesień, nad przedstawianą rzeczywistością, musi budzić zastanowienie, skłaniać do refleksji. Obok takiego malarstwa nie można przejść obojętnie.

Ta nieobojętność manifestuje się w różnoraki sposób. Byłem świadkiem jak siedzący pod obrazami Olszewskiego inny plastyk — również wielki wrażliwiec, tyle że impetywny — odwrócił dwa obrazy do ściany. W tym zdarzeniu znalazłem potwierdzenie, iż wobec tego malarstwa nie można być obojętnym. Obrazy Olszewskiego poruszają — wyobraźnię, a także nasze własne, jakże często skrywane gdzieś tam głęboko, bywa że nieświadomiane pragnienia i tęsknoty — za spokojem, ciszą, harmonią i równowagą, których artysta — a wraz z nim i odbiorca — podświadomie pragnie, a więc wyraża. Ten spokój, cisza, ład wewnętrzny upatrjuje Olszewski w renesansowych wnętrzach przewijających się przez rozliczne płótna. Bo też renesans, jak pamiętamy, wiąże się nierozdzielnie z ogólnymi prądami epoki odrodzenia, nasilenia tendencji humanistycznych, rozwojem myśli racjonalistycznej, rozkwitem nauk. Stąd w takim właśnie wnętrzu, spotykowym w brzości, rozważnym refleksyjnym, bieli pojawia się w jednym obrazie stara księga postawiona na surowym stole, w innym zaś — jak ten na wystawie — kobieta w bieli, a wszystko to przemienne oddale-

niem, przejmująco odległe w czasie i... nieosiągalne. Dla nas skazanych na życie w rozchwilnym i znerwicowanym świecie.

Olszewski jest malarzem chwili, napełnionej odczuciami go rzeczywistością, często przeludnioną (jak ta ilość portretów osaczonych na płótnie w obrębie jednej ramy), chwili nierzadko przesiąkniętej zadumą nad przeszłością utraconą w naszej świadomości określona symboliką (obraz z Marszałkiem), lecz zawsze, nawet w portretowaniu osób poławia się coś z brutalności współczesnego świata. Raz będzie to portret dziewczyny o brązowym skamieniały przyrodo. Innym razem — portret starca, w którego twarzy odbija się los każdego z nas. Dopiero wtedy, gdy u Olszewskiego następuje przesilenie od natoku myśli i doznań ucieka w najbliższy mu świat — przyrody, pejzażu świat porządkujący rozdrąganą wrażliwość, choć i ten skazany jest współczesnością.

Jest to mądre malarstwo, które poza przeżyciami estetycznymi przypomina nam harmonijne związki człowieka z ułożonym światem przyrody i dzieł.

MARIAN ZDROJEWSKI



PESTKI DYNI

KIELBASA WOŁYŃSKA (albo kresowa). Wieprzowinę i wołowinę zmielić w maszynce do mięsa z sitkiem o oczkach 5—8 mm. Sól wymieszać dokładnie z saletą i pozostałymi przyprawami i dodać do rozdrobnionego mięsa, starannie wyrabiając, ubijając tłuczkami i dodając po trochu rumu lub spirytusu. Wyrabiać i ubijać tak długo, aż uzyska się gładką, jednolitą masę. Słoninę pokrajać w grubą (2 cm) kostkę, po czym wymieszać z wyrobioną uprzednio masą tak, aby kostki słoniny były równomiernie rozmieszczone. Osłonki wytrzeć z obu stron czystą ściereczką do sucha i napelnić bardzo ściśle masą mięsną. Kielbasę ułożyć na desce, nakryć drugą deską, przycisnąć ciężarkiem ok. 2 kg, po czym umieścić w pomieszczeniu o temp. 12—15 st. C na 2 doby. Po tym czasie deski z kielbasami przenieść do chłodni (6—8 st. C) spizarni na 10—14 dni, następnie kielbasę powiesić w chłodzie i przewiewie na 3 dni i wędzić zimnym dymem przez 7—8 dni. Można ją potem przechowywać w naczyniu zasypaną ziarnem lub obłożoną suchym siano.

KIELBASA LITEWSKA. Mięso (wieprzowina średniościła, wołowina chuda, mięso z zająca lub królika) pokroić w drobną kostkę (ok. 3 mm); dokładnie rozdrobnione przyprawy i sól wymieszać z saletą, a następnie dodać do mięsa. Ubijać mocno tłuczkami aż masa stanie się jednolitą i maziastą. Słoninę pokrajać w cienkie paseczki (3 x 3 x 20 mm) i dokładnie wymieszać z wyrobioną uprzednio masą mięsną. Wytartą, czystą ściereczką osłonki napelnić ściśle ową masą. Końce zawiązać szpagatem formując odcinki o długości 35—45 cm. Kielbasę ułożyć na stołnicy, nakryć deską, obciążyć i wynieść w chłodne miejsce na 10—14 dni. Po tym czasie zawiesić w chłodzie i przewiewie na 2 dni, a następnie wędzić zimnym dymem przez 6—7 dni. Kielbasa nadaje się do długiego przechowywania.

KIELBASA ROSYJSKA. Mięso (wieprzowina chuda, wołowina chuda z młodych sztuk) dokładnie wyżyłować i pokroić na kawałki 5—6 cm. Sól wymieszać dokładnie z saletą i cukrem, posypać mięso i dokładnie z nim wymieszać. Masę umieścić w naczyniu warstwą o grubości ok. 20 cm, wyrównać i ubić powierzchnię, a następnie przenieść do chłodnego (4—6 st. C) pomieszczenia na 4—5 dni. Po tym czasie zmielić mięso w maszynce z sitkiem o oczkach 6—8 mm; dodać przyprawy i wyrabiać jak ciasto, dodając wino. Wyrabianie zakończyć, gdy masa jednolita i gładka. Następnie dodać słoninę, pokrajaną w drobną (3—4 mm) kostkę i całość wymieszać w celu równomiernego rozmieszczenia kostek słoniny w masie mięsnej. Wytartą osłonki napelnić bardzo ściśle masą mięsną, końce przewiązać szpagatem, formując odcinki o jednakowej długości i zawiesić w chłodnym, przewiewnym pomieszczeniu na 2 dni. Wędzić zimnym dymem 6—7 dni, przenieść w chłodne, suche i w miarę przewiewne miejsce. Po 20—25 dniach dojrzewania kielbasa osiąga w pełni swoje walory smakowe. Wędliną trwała.

KIELBASA MOSKIEWSKA: wyrabia się ją tak, jak kielbasę rosyjską, z tą różnicą, że słoninę kroci się w kostkę ok. 6 mm, zaś wędzenie zimnym dymem przedłuża się o 8—9 dni.

Powyższych przepisów kulinarnych nie odnośmy do geografii, odnieśmy je do sztuki.

PS. Powyższe receptury zawdzięczam panu W. Pospeżyńskiemu i w tym miejscu mu za nie dziękuję.

ANDRZEJ GRUN



Rys Stanisław Łuczyński

„POLACY”

Tak brzmi nowy cykl telewizyjny Dwójki. Jak zapowiada Józef Węgrzyn, szef programu drugiego, chodzi o „wzbogacenie skarbnicy kultury narodowej o wybranych, wybitnych twórców nie tylko kultury, ale też i nauki, a także życia duchowego i gospodarczego. Ma to być niejako dzwignia psychologiczna dla społeczeństwa, swoisty dowód na to, iż można sięgać po — wydawałoby się — niemożliwe. Przecież dziesiątki Polaków wspinają się na najwyższe szczyty osiągnięć. To powinno być zachętą dla wszystkich rodaków. Bo żyje się raz i nie warto życia pisać na brudno”.

Cykl ten zainaugurowała postać papieża Jana Pawła II. Program emitowany będzie przez cały rok. Przewiduje się zaprezentowanie około 200 sylwetek, wśród nich: Penderickiego, Mrozka, Lema, Kantora, Kapuścińskiego, Olbrychskiego, a nawet Maryll Rodowicz, Jacka Gmocha i Zbigniewa Bońka. Lista nazwisk została ponoć ustalona wspólnie z Ministerstwem Kultury i Sztuki, a także w wyniku konsultacji z różnymi środowiskami. Obok postaci żyjących w kraju, znajdują się nazwiska Polaków przebywających za granicą, którzy tam za-

istnieli swoimi pracami... Jednocześnie nikt nie odmówił, Sławomir Mrozek i Stefan Kisielewski na przykład odczytali terminy nagrań, inni czekają na dogodną porę”.

Program ma być różnorodny — od filmu dokumentalnego, po rozmowę i reportaż. Gotowych, bądź na ukończeniu, jest już 70 sylwetek. Do realizacji tego cyklu zaangażowane są różne wytwórnie i różni producenci, nawet — jak powiada Józef Węgrzyn — BBC, gdy chodzi o sylwetki Ryszarda Kapuścińskiego i Tadeusza Konwickiego. Z tym jednak, dodajmy, że BBC Ryszarda Kapuścińskiego i Tadeusza Konwickiego przedstawia już dawno, i to chyba z własnej inicjatywy...

APEL

J. MORGENSTERN

Jestem przeciwny dubbingowi. Owszem czyni się tak na świecie, kina drugiej kategorii wyświetlają filmy z podkładanym głosem dla tych, co mają trudności z odczytywaniem napisów, ale w krajach kulturalnych, jak we Francji na Polach Elizejskich można zobaczyć filmy w wersji oryginalnej.

Dubbing to w 50 proc. szata dla filmu. Wyobraź sobie sy-

tuację, gdzie Redford używa głosu Francuskiemu, a Liz Taylor Słaskiej. W krajach, gdzie zwyczajowo najwięcej filmów się dubbinguje, robią to nieznani aktorzy. U nas — nawet najlepsi. Protestuję przeciwko takim praktykom. Widzę wtedy dwie postacie. Istnieje prawo do własnego głosu, do osobowości i nie wolno fałszować filmu. Nie mogą zrozumieć, dlaczego u nas psuje się w ten sposób dobre filmy. Jeżeli już można zrobić dubbing „W kamiennym kręgu”, dlaczego zabierać głos wielkim?

Korzystam tu z okazji i zwracam się do aktorów, zwłaszcza tych pierwszej gildii — dubbingowanie jest poniżej godności wielkiego aktora, usprawiedliwieniem może być tylko fakt, gdyby umierali z głodu. Zwracam się do Piotrusia Fronczewskiego — nie rób mi takich przykrości, niech Maksymilian Schell mówi własnym głosem. Uwielbiam Aleksandrę Śląską, ale kiedy widzę Glendę Jackson czy Elizabeth Taylor, chcę słyszeć ich głosy...

ZBUNTOWANY PISARZ

Pewien młody pisarz rosyjski, postać trochę jak z powieści

Bulhakowa, wyraził swój protest w sposób dotąd raczej nieznan w jego kraju — pisze „La Republica”. — Na samym początku obrad — odbywających się w reszcie oświetlonej, wielkiej sali Związku Pisarzy Rosyjskich, noszącej nazwę „Olimp” — pojawił się nagle na podium mężczyzna. Zupelnie nagi. Miał na sobie tylko czarne skarpetki i przewieszoną przez ramię starą, znoszoną torebkę. Skłonił się zebrałym i wyjął posładki, na których grubymi literami napisane były słowa: „Związek Pisarzy”. Potem znów odwrócił się do publiczności i bez cienia żenowania zaprezentował swoją nagość. „Myślicie może — zwrócił się do zebranych — że to jest mój członek. Nic podobnego. To jest członek Związku Pisarzy — i to jedyny, jakiego mam w powołaniu”. Powstał wielki tumult. Obecni na sali milicjanci dopiero po dłuższej chwili zorientowali się, że nie jest to happening — jeszcze jeden z rodzaju tych, jakie zdarzają się teraz często w dobie głośności. Dopiero gdy znany poeta, Robert Roždżestwenski, wyszedł na podium i ożajmł że to wystąpienie nie było przewidziane w programie obrad, milicjanci przystąpili do wykonywania swoich obowiązków. Zastryżanym okazał się 28-letni początkujący pi-

Czas - jak spojrzenie w głąb

Sa obrazy, o których mówienie wydaje się być rodzajem świętokradczego na nie zamachu. Ale im dalej w czasie usadowiają się, tym ich treść zdaje się bardziej odstać w naszej świadomości. Zacieśnia się ich kształt zewnętrzny, ukrywa się w pamięci detal formy, ale prawda wyrażona tym kształtem, ta forma przybliża się. Przy obrazach osobnych słów, którymi chcemy być wytłumaczyć, wydają się nawet niezbyt kłamiwe, dopiero przy wielu, gdy są wielością w jednoci potrzeba głębi czasu, żeby nie zatrzeć płaskim słowem pytania o drogę: — jak? dokąd? — pyta o nasze przeżycie: — nasze? a więc czyje? kto to jest: my? (twórczość Stanisława Fijałkowskiego); żeby nie zatrzeć płaskim słowem świadectwa przeszłości: — jakiej? — jednocześnie czasu przeszłego i teraźniejszego: — względem czego? — rytmu, rytmu, rytmu, który raduje? A jak się z niego wyjdzie, okazuje się, że to tylko wyjście pozorne (twórczość Stefana Krygiera).

Jak to jest możliwe, że raz świadomość jest materia (rzeźba Adama Myjaka), innym zaś razem materia przeżywa swoją materialność (obrazy, akwarele i rysunki Jerzego Stajudy)? Oto mamy powierzchnię pokrytą przezświetlonymi warstwami barw; jej płaskość, gładkość możemy wyczuć pod palcami; możemy widzieć jak kolory zatrzymały się w pół drogi zjadając jeden do drugiego, albo wzbierając się przed spotkaniem; czujemy powiew powietrza poruszonego śmiganiem linii, choć ołówki dawno oderwały się już od kartonu, a wszystko to są byty idealne, sama istota, która przywraca wszystkiemu właściwe miejsce. I znów ktoś zapływa o drogę, o przestrzeń i powie, że świadomość jest materia; i tak stale, niezmiennie, a zarazem niepowtarzalnie w głąb albo w otwartość, a prawda, jak lustro wody, tkwi gdzieś tam w głębinach cembrowiny...

Te słowa są niewolne od taniego patosu, a zatem kłamiwe, tak jak opis rzeczywistości jest już inna rzeczywistość niż ta, do której się odnosi.

Historię sztuki opokowują obrazy w różne nazwy, powiastania, kody. Wszystkich innych chroni prawo wiary, że nie ma sprzeczności w tym, iż każdy obraz jest prawdą ostateczną i jedyną, choćby tych obrazów-prawd było nieskończenie wiele.

Ale są też płótna pokryte farbami, zabudowane kształtami, których treści czas odsuwa w nieobecność, mimo iż autor owych płócien zużywa bardzo dużo słów, by uczynić je obecnymi. Pozostawmy jednak te obrazy tym, którzy zechcą się poddać magii słów (wystawa malarstwa Jarosława Szewczyka w Galerii Batuckiej — listopad '88).

Zdarzają się również miłe zaskoczenia, kiedy to z rzadka prezentowana w galeriach scenografia broni się sama plastyką. Zmagania światłości z ciemnością, ducha z materią, dobra ze złem wywiedzione z dramatu „Fausta” Goethego — służą mu zarazem i uwalniają się od niego. Dostrzegamy inscenizatorskie możliwości zamknięte w planszach, w odkrywaniu treści... (Ewa Kałczak-Kozielec: Czarne i Białe — koncepcja scenograficzna Fausta Goethego — Salon Sztuki Współczesnej grudzień 88).

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Stanisław Fijałkowski: Wystawa przeglądowa — Galeria Sztuki — maj 88; ostatnie obrazy — Galeria 88 — maj 88.
Stefan Krygier: Wystawa przeglądowa — Ośrodek Propagandy Sztuki — kwiecień 88.
Adam Myjak: rzeźba — Ośrodek Propagandy Sztuki — grudzień 88.
Jerzy Stajuda: Obrazy, akwarele, rysunki — Muzeum Sztuki — grudzień 88.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

sarz Ilia Grebniow, usunięty w ub. roku z Instytutu Literatury Uniwersytetu Moskiewskiego za niemoralne prowadzenie się. Od tamtej pory na próżno usiłuje zostać pełnoprawnym członkiem Związku Pisarzy. Wygląda na to, że spotkała go ciężka kara („Forum” nr 49).

Słyszeliśmy już o różnych ekscesach poetów, naszych ma się rozumieć — a to jak chlusnął winem w twarz jurorowi który nie docenił poety, a bitki także bywały, lecz żeby członkom jakiegoś dostojnego gremium mówić, a raczej pokazywać, co się o nim myśli...?

I znów nas przeliczytawali.

KTO DZIŚ PAMIĘTA?

Niewielu dziś pamięta słynnego Shirley Temple — gwiazdę filmową, która jako sześciolatka dyktowała pokazywane po raz pierwszy w historii kina z czarnym aktorem Billy Robinsonem. Z pamiętników, jakie ukazały się ostatnio w Stanach Zjednoczonych, dowiadujemy się, że ojciec źle inwestował zarabiane

przez dziecko-gwiazdę pieniądze, że po raz pierwszy wyszła za mąż mając 17 lat, a jej wybrańcem został aktor John Agar, który okazał się alkoholikiem. Jej drugim mężem został biznesmen Charles Black. Karierę aktorską zakończyła w 1954 r., gdy urodził się trzeci syn. Wtedy z aktorki stała się politykiem. Za prezydentury Geralda Forda została ambasadorem USA w Ghanie, potem szefem protokołu dyplomatycznego. W kampanii wyborczej w 1980 r. Shirley Temple współzawodniczyła z Georgiem Bushem...

KAW PROMUJE

Łódzki Oddział Krajowej Agencji Wydawniczej po raz kolejny odwołał się do nowoczesnej formuły promocyjnej książki, jaką dziś stosują w świecie wydawniczym. Otóż z okazji wydania nowej powieści Aleksandra Minkowskiego, jednego z najbardziej popularnych i interesujących polskich pisarzy współczesnych, pt

„Zdrady miłosne” w siedzibie agencji odbyło się spotkanie z autorem, na którym dyrektor Andrzej Sidorowicz przedstawił pisarza i jego dzieło. Z tej też okazji zorganizowano autorowi spotkanie z młodzieżą III LO, natomiast po południu — możliwość podpisywania książki w księgarni przy ul. Piotrkowskiej 149.



Aleksander Minkowski ZDRADY MIŁOSNE

Galeria pisarzy



Rys. Sławomir Arabski

UCIEKINIER

Dzisiaj już mało kogo to obchodzi, że był Marian Piechal miłośnikiem Łodzi...

ROMAN GORZELSKI

Kronika

PROFESOR BOGDAN SUCHODOLSKI — przewodniczący Narodowej Rady Kultury, wybitny uczony, humanista, pedagog i filozof, członek Polskiej Akademii Nauk oraz licznych krajowych i zagranicznych towarzystw naukowych — obchodził 88 rocznicę urodzin. Z tej okazji serdeczne gratulacje przekazał osobiście jubilatowi przewodniczący Rady Państwa — gen. Wojciech Jaruzelski, wyrażając mu głęboki szacunek i uznanie za wielki dorobek w dziedzinie nauk humanistycznych i działalności na rzecz rozwoju kultury narodowej.

NIEOCZWIENNI GOŚCIE podejmowani byli 13 grudnia 1988 r. w siedzibie Łódzkiego Towarzystwa Naukowego przy ul. Piotrkowskiej 179. Najzdolniejsi uczniowie łódzkich szkół średnich, wraz ze swoimi wychowawcami, gościli w progu tej szacownej instytucji — skupiającej luminarzy nauki — na zaproszenie Kuratorium Oświaty i Wychowania UMŁ oraz ŁTN.

Instytucje te uznają bowiem za celowe rozwijanie zainteresowań naukowych najbardziej uzdolnionych uczniów szkół średnich, wystąpiły z niezwykle cenną inicjatywą społeczną, powołania pod ich auspicjami Młodzieżowego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Zbieranych, wśród których znajdował się m.in. rektor Uniwersytetu Łódzkiego prof. dr hab. Leszek Wozniak, powitał w imieniu ŁTN — prof. dr hab. Zbigniew Kuchowicz. Następnie prezes ŁTN, prof. dr hab. Witold Smiech, wygłosił odczyt „Tendencje rozwojowe współczesnej polszczyzny”. Spotkał się on z dużym zainteresowaniem wśród zgromadzonej młodzieży.

W drugiej części spotkania Kurator Oświaty i Wychowania UMŁ — mgr Iwona Bartosikowa omówiła założenia projektowanego Młodzieżowego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Inicjatywa jego powołania spotkała się z dużym aplauzem uczniów, którzy przedstawili bogaty zestaw interesujących ich tematów z różnych dziedzin wiedzy.

Słowa uznania należy wyrazić pod adresem projektodawców tej ważkiej społecznej inicjatywy.

Z UDZIAŁEM przedstawicieli władz partyjnych, administracyjnych i oświatowych, 8 grudnia 1988 r. obradowało VI Plenum Zarządu Łódzkiego Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej. Było ono poświęcone upowszechnianiu kultury i kształtowaniu postaw obywatelskich wśród młodzieży.

W przebiegu uchwale zaakcentowano konieczność skoncentrowania się w działalności wychowawczej na krzewieniu idei humanizmu i tolerancji wśród młodego pokolenia.

ZARZĄD OKRĘGU ŁÓDZKIEGO ZWIĄZKU POLSKICH ARTYSTÓW MALARZY I GRAFIKÓW zorganizował konkurs na malarstwo, grafikę i rysunek pn. „PROPOZYCJE”. Odbył się on pod patronatem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi i przy współpracy z BWA. Na konkurs wpłynęło 311 prac 93 autorów. Jury przyznało następujące nagrody: w dziedzinie malarstwa — I nagrodę — Władysławowi Kałkiewiczowi, II — Krzysztofowi Bałcerskiemu, III — Ewelinie Nawrociowej; w dziedzinie grafiki — I nagrodę — Ludwikowi Ignacemu Miłulskiemu, II — Ewie Lesser, III — Krzysztofowi Wiercokowi; w dziedzinie rysunku — I nagrodę — Janowi Krzysztofowi Erykowi, II — Janowi Wolskiemu-Domańskiemu, III — Henrykowi Hoffmannowi.

Wystawa pokonkursowa zostanie otwarta na początku 1989 roku.

SRODMIEJSKA BIBLIOTEKA DZIELNICOWA, wraz z Działem Widoków Lalkowych Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego, zorganizowała w grudniu wystawę pn. „Postać szopkowa” w teatrze lalków.

W MUZEUM MIASTA ZGIERZA czynna była w grudniu ubiegłego roku wystawa „Józef Piłsudski na medalach i monetach”. Ekspozycję tę przygotowało z okazji 70-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości.

WYBRANO NOWE WŁADZE STOWARZYSZENIA AUTORÓW ZAIKS. Przewodniczącym został Edward Pallasz, zaś w skład zarządu weszli m.in.: Jan Dobraczyński, Józef Hen i Marek Sart.

JAK WYKAZAŁY BADANIA PREHISTORIA z NRD — Waltera Andrasa, legendarna Biblija w Babel (wzniesiona ok. 2600 lat p.n.e. nad Eufratem) miała 92 metry wysokości.

WICEPRZEWODNICZĄCY RADY PAŃSTWA, Kazimierz Barcikowski, wreszcie 28 grudnia ub. r. w Belwedrze akty nominacyjne 35-osobowego grupe uczonych, wśród których znajdowali się łódzianie. Tytuły profesora zwyczajnego nauk humanistycznych otrzymali: Stefan Dziecielska-Machnikowska i Jolanta Kulpińska. Tytuły profesora nadzwyczajnego otrzymali: nauk chemicznych — Witold Michał Barczak z PZ, Romuald Bartnik i Jan Epsztajn z UL; nauk humanistycznych — Adela Styczńska z UK; nauk technicznych — Władysław Korliński z PL. Gratulujemy!

ZMARŁ W WIEKU 80 LAT TEODOR PARZYCKI, jeden z najwybitniejszych i najoryginalniejszych pisarzy polskich. Jego powieści historyczne — „Srebrne orły”, „Koniec zgody narodów” i „Tylko Beatrycze” zyskały mu szeroki rozgłos.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „ALFA” ukazał się niebawem — w formie komiksu (rewelacji) — pierwszy tom podręcznika do nauki języka angielskiego dla dzieci od lat pięciu.

Celów — zamierzona na cztery tomy (z ośmioma kasetami) — przeprowadzona będzie w sprzedaży subskrypcyjnej.

W GŁOSNYM FILMIE ISTVANA SZABO „HANUSSEN” (główna rolę kreuje w nim sławny Klaus Maria Brandauer) gra aż sześciu polskich aktorów: Gracyna Szapolewska, Adrianna Biedrzyńska, Michał Bajor, Ewa Blaszczyk, Katarina Jedrusik i Gabriela Kownacka.

RADA PAŃSTWA przyznała znanemu łódzkiemu literatowi — zwanemu rozlicznymi wzmiankami i Wasmu — Tadeuszowi Chrościelewszemu Medal Rodła.

Został on mu uroczystie wręczony 29 XII 1988 r. w trakcie posiedzenia Zarządu Wojewódzkiego Stowarzyszenia „Wigła-Odra” przez wiceprzewodniczącą RN Miasta Łodzi — Zdzisławę Prochowską.

Leczmy serdeczne gratulacje!

OGROMNE ZAINTERESOWANIE WŚRÓD POLONISTYCZNEJ MŁODZIEŻY wzbudziło zorganizowane 16 XII 1988 r. przez Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza (Oddział w Łodzi) spotkanie z wybitnym polskim reporterem o światowym rozgłosie — Ryszardem Kapuścińskim.

Do późnych godzin wieczornych przelęgła się bardzo ciekawa dyskusja z autorem „Cesarza” i „Szachinszacha” — o etosie reportera końca XX wieku.

W DDK ŁÓDŹ-GÓRNA odbył się 12 XII 1988 r. Turniej Jednego Wiersza. Jury w składzie: A. W. Mikołajewski, Z. Kosiński, H. Pustkowiak postanowiło I nagrody nie przyznawać; II nagrodę otrzymał E. Palczyński, III — E. Tomczak, zaś trzy równorzędne wyróżnienia: M. Mrozek, J. G. Issaieff oraz K. Soltysiak.

W TURNIEJU POETYCKIM O PUCHAR WINA zorganizowanym 19 XII 1988 r. przez ŁDK, jury, któremu przewodniczył Andrzej Biskupski, postanowiło I nagrodę przyznać B. Baron, II — J. G. Issaieffowi, dwie równorzędne trzecie nagrody — E. Tomczak i W. Tworze.

Opracował: JAK

14

maja 1935 roku Stalin przyjechał do Sali Kolumnowej Domu Związków na uroczyste posiedzenie z okazji uruchomienia moskiewskiego metra.

Patrząc na siedzących na sali młodych ludzi — budowniczych metra, na ich uszczęśliwione, wesołe twarze, zwrócone tylko ku NIEMU, oczekujące tylko JEGO słów, myślał o tym, że młodzież jest za NIM, że młodzież, wyrosła w JEGO epoce — to JEGO młodzież, im, dzieciom ludu, dał wykształcenie, dał możliwość współuczestnictwa w heroicznym przedsięwzięciu, możliwość udziału w wielkim dziele przekształcania kraju. Ten wiek, najbardziej romantyczny, na zawsze zwiąże się w ich pamięci z NIM, młodzieść tych ludzi będzie o-promieniona JEGO imieniem, JEMU pozostaną wierni do końca swoich dni. To im powinien otworzyć drogę do władzy, swoje wywyższenie będą zawdzięczać JEMU i tylko JEMU.

Z zamyslenia wyrwał go Bułganin:

— Głos ma towarzysz Stalin. Stalin podszedł do trybuny. Wszyscy wstali...

Owacje trwały w nieskończoność...

Stalin podniósł rękę, prosząc o ciszę, ale brawa nie milki, cała sala klaskała rytmicznie, przypominało to uderzenia w wielki bęben, i każdemu uderzeniu towarzyszyło jedno skandowane słowo: „Stalin!”, „Stalin!”

Stalin przywykł do owacji, dziś jednak były to owacje szczególne. Swoją apłauz wyrażali nie urzędnicy, nie komсомольscy biurokraci, lecz prości robotnicy — betoniarze, rebarczy, spawacze, ślusarze — budowniczy pierwszego w kraju metra. To lud, najlepszy z ludu i przyszłość ludu.

Burza oklasków wstrząsała salą, chłopcy, dziewczęta — wszyscy wchodzili na fotele, krzyczeli: „Niech żyje towarzysz Stalin!”, „Wielkiemu wodzowi, towarzyszowi Stalinowi — komсомольskie ura!”

Stalin wyjął zegarek i podniósł go, pokazując zebranym, że pora się zmytygować. Sala odpowiedziała jeszcze głośniejszą owacją.

Stalin pokazał zegarek członkom prezydium. Ci uśmiechali się tylko — schlebiali im, że oni też biorą udział w tym wzruszającym bezpośrednim obcowaniu z ludem. I jak gdyby ulegając woli Stalina, wyrażonej w tak demokratyczny sposób, zaczęli siadać na swoich miejscach.

Siadano również na sali, ale brawa nie ustawała.

Towarzysze — Stalin usmiechnął się — nie klaszczcie na wyrost, przecież nie wiecie co powiem.

Sala odpowiedziała radosnym śmiechem i nowymi owacjami.

— Mam tu dwie poprawki — kontynuował Stalin. — Za sukcesy w budowie moskiewskiej kolei podziemnej partia i rząd nagrodziły: jednych — Orderem Lenina, drugich — Orderem Czerwonej Gwiazdy, trzecich — Orderem Czerwonego Sztandaru Pracy, czwartych — listami gratulacyjnymi Centralnego Komitetu Wykonawczego.

Rodzi się jednak pytanie: a co z pozostałymi, co z towarzyszami, którzy na równi z nagrodzonymi nie szczędzili swojej pracy, swojej wiedzy, swoich sił? Jedni z was są jak gdyby zadłozeni, a innym jest przykro. Cóż więc zrobić? Oto pytanie.

Zrobił pauzę.

W sali panowała nabożna cisza.

— A więc — podjął Stalin — chcemy wobec wszystkich naprawić ten błąd partii i rządu.

Sala ponownie eksplodowała śmiechem i oklaskami.

Gestem ręki Stalin nakazał ciszę i mówił dalej:

— Nie jestem zwolennikiem długich przemówień, pozwólcie więc, że odczytam te poprawki.

Wyjął z kieszeni na piersi złożoną na czworo kartkę, rozprostował ją.

— Poprawka pierwsza: za wkład w pomyślny przebieg budowy moskiewskiej kolei podziemnej wyrazić w imieniu Centralnego Komitetu Wykonawczego i Rady Komisarzy Ludowych wdzięczność wszystkim przewodnikom i przodownikom pracy, członkom brygad szturmowych oraz członkom kolektywów inżynierów, techników, robotników i robotnic Metrostroju.

I znów burza oklasków.

Wszyscy wstali, wstało też prezydium. Rozległy się okrzy-

ki „ura”. Stalin stał na trybunie i nie próbował nawet uciszać sali — owacje były przeznaczone nie tylko dla niego, ale też dla rządu, wyrażającego swoją wdzięczność budowniczym metra, i dla pracowników Metrostroju, którzy na tę wdzięczność zasłużyli.

Gdy sala wreszcie ucichła, Stalin powiedział:

— Jeszcze dziś należy wnieść poprawkę, że wyrażamy wdzięczność wszystkim pracownikom Metrostroju. — Gestem uciał zrywające się oklaski. — Nie bijcie mi brawo, to decyza wszystkich towarzyszy.

I druga poprawka — Stalin zerknął na leżącą przed nim kartkę. — Przeczytam ją: za szczególne zasługi w dziele mobilizacji sławnych komсомольców i komсомolek do pomyślniej pracy przy budowie moskiewskiego metra nagrodzić Orderem Lenina moskiewską organizację Komсомольcu.

Znów nawala oklasków. Tym razem bił brawo i sam Stalin, oddając cześć moskiewskiemu Komсомольcowi.

ANATOLIJ RYBAKOW

Trzydziesty piąty i dalsze lata

Księga I. Fragmenty

Kiedy przestał klaskać, ucichła też sala.

— Również i tę poprawkę należy wnieść jeszcze dziś, a jutro opublikować... Być może, towarzysze, wszystko to za mało, ale niczego lepszego nie zdołaliśmy wymyślić. Jeżeli można coś jeszcze zrobić, to podpowiedzieć nam.

Pozdrawiając gestem zgromadzonych, Stalin skierował się do prezydium.

Owacja przewyższyła wszystko co było do tej pory. „Ura ukochanemu Stalinowi!” I sala zagrziała: „Ura!”, „Ura!”, „Ura!” Jakas dziewczyna wskoczyła na fotel i krzyknęła: „Towarzyszu Stalinowi — komсомольskie ura!” I znów przetończyło się nad rzędami: „Ura!”, „Ura!”, „Ura!”

Trwało to dziesięć minut. Ludzie wciąż stali, bił brawo, wykrzykiwali „Ura!”, „Ukochanemu Stalinowi — ura!”

Stalin w milczeniu stał za stołem prezydiu i patrzył na salę. Nie, to nie tamci, którzy półtora roku temu bili mu brawo na Siedemnastym Zjeździe, tamci klaskali nieszczercie, ci są całkiem inni, to JEGO ludzie.

Tak, młodzież niewątpliwie jest z natury chwelnia, podatna: Młodzi z wiekiem kornieją, to prawda, ale dorastają następni, im też trzeba otworzyć drogę — to nieprzerwany i bolesny proces.

Proces odnowy kadry jest jednak procesem nieuniknionym, należy tylko zadbać o to, aby kadry przejmujące władzę były JEGO kadrami. Nowe kadry nie zastanawiają się nad faktem, że ich poprzednicy ulegają likwidacji: obejmując władzę są pewnie jej trwałymi. Gdy też będą musieli odejść, oskarżają o to nie towarzysza Stalina, lecz swoich rywali. Towarzysze Stalin na zawsze pozostanie dla nich tym, który ich wywyższył.

Tak rozmyślał sobie Stalin, wpatrując się w radosny, podniecony i szalejący z zachwytu tłum na sali.

Tak, są mu szczerze oddani, oddani całkowicie i bez reszty. Powinien jeszcze coś powiedzieć, rzucić jakieś proste, ludzkie słowa, trafić do każdego serca, porwać te młodzień nie tylko swoją wielkością, ale i swoją prostotą.

I gdy oklaski wreszcie ucichły, niezbyt głośno, lecz tak żeby wszyscy słyszeli spytał:

— Jak myślicie, wystarczy już tych poprawek?

Burza braw zerwała się z nową siłą.

Wszyscy wstali.

Stojąc klaskali też członkowie prezydium. Klaskali Stalin, Molotow, Kaganowicz, Woroszyłow, Ordżonikidze, Czubar, Mikojan, Jeżow, Mielzauk. Trwało to nieskończenie długo. Ludzie nie mogli ruszyć się z miejsca, nie mogli odejść, nie mogli rozstać się ze Stalinem, przecież to był ich dzień, być może jedyny dzień w ich życiu, gdy widzieli Stalina, chcieli przedłużyć to święto, chcieli jeszcze i jeszcze słuchać Stalina.

Stalin zakończył jednak już swoje wystąpienie, nie zabierze głosu po raz drugi, i ktoś krzyknął: „Kaganowicz!”

Sala momentalnie podchwyciła: „Kaganowicz!”, „Kaganowicz!”

Kaganowicz niepewnie spojrział na Stalina. Występować po nim?

Stalin powiedział:

— No cóż, Łazar, lud czeka, porozmawiaj z ludem.

Kaganowicz wszedł na trybunę.

8.

Po zakończeniu posiedzenia w Sali Kolumnowej Stalin nie zaglądając na Kreml pojechał do Kuncewa, gdzie mieściła się jego nowa dacha. W ubiegłym roku zbudował ją Mierzanow — lekka parterowa budowla, otoczona sadem i lasem. Cały dach zajmowało solarium. ON nie korzystał z solarium, ale nie miał nie przeciwko niemu — niech będzie, kiedy się znudzi, to dobudują piętro. Kryta galeria łączyła dach z budynkiem obsługi.

jest John Reed? Doskonale wie. Inteligent. Wykształcony. Uczył się nie w seminarium w Tyflisie, ale w Niemczech, w Jenie. Zna języki, i europejskie, i wschodnie, taki sam poliglota jak i Mienżyński, a więc wszystko rozumie, i swojego syna nazwał tak wyłącznie na złość JEMU.

Za żonę wziął sobie śpiewaczkę operową, Marię Anisimownę, kiepska to widać była śpiewaczka, skoro rzuciła operę, żeby mieszkać z mężem w Berlinie, w przedstawicielstwie handlowym. Przywoziła Nadi z zagranicy wszelkie barachlo, JEGO żonie wpajała zamiłowanie do zagranych ciuchów, deprawowała ją moralnie i politycznie. Wszyscy to robili specjalnie źli, zawistni ludzie. Ale boją się. Grając z NIM w bilard, Alosza zawsze przegrywał, a potem wyjaśniał innym: „Wygram, a on ze złości każe kogoś rozstrzelać!”

Takie rzeczy drogi szwagier Alosza Swanidze opowiada za jego plecami, tak nagłaśnia się z niego publicznie!

dów pyta „Gdzie jest Siergiej Jakowlewicz?” „A po co ci Siergiej Jakowlewicz?” „Żeby zamek naprawić!” JEGO dach zamienili w jakiś warsztat ślusarski! I nie przekonasz starego. Bo, wyobraźcie sobie, praca fizyczna uszlachetnia. Marksista — idealista. Ze stowarzyszenia starych bolszewików. Przesiaduje z nimi, wymusza się tak samo jak oni. Pamiętniki pisze. Pół dnia reperuje zamki, a drugie pół dnia pamiętniki pisze.

I co to w ogóle jest, to stowarzyszenie starych bolszewików? Przytułek! Podczas styczniowego procesu Zinowiewa — Kamieniewa oburzali się, próbowali podejmować jakieś działania. Szczególnie Wania Budjagin. Nie wolno sądzić starych bolszewików. A niby dlaczego nie wolno? Dlaczego drogi Wania nie protestował, gdy wysyłano za granicę Trockiego, gdy zamykano w więzieniu Smirnowa Iwana Nikitycz, Smigle, Rakowskiego i innych trockistów? Gdy zsyłano Kamieniewa i Zinowiewa? A w

Nawiasem mówiąc, towarzysz Jemiellian Jarosławski jest przewodniczącym tego stowarzyszenia. Być przewodniczącym stowarzyszenia starych bolszewików to oczywiście zaszczyt, ale towarzysz Jemiellian Jarosławski powinien się zastanowić, komu to stowarzyszenie jest potrzebne. Komu i czemu służy?

Drogi towarzysz Jemiellian Jarosławski przewodniczy też stowarzyszeniu byłych więźniów i zesłańców politycznych. To oczywiście też zaszczyt, tym bardziej, że towarzysz Jemiellian Jarosławski urodził się w Czycie, w rodzinie zesłańców. I znów towarzysz Jemiellian Jarosławski powinien pomyśleć, komu potrzebne jest to stowarzyszenie. Też przytułek, ale dla mienszewików, eserów, anarchistów i zwyczajnych kryminalistów, udających politycznych. Wydają czasopismo „Katorga i zsyłka”. Kogóż to tam drukują? Czyje nazwiska wymieniają? Na terenie ZSRR posiadają prawie 50 oddziałów lokalnych — jacy ludzie się tam grupują? Po co istnieje ta organizacja? Po co obcy ludzie, potencjalni wrogowie władzy radzieckiej.

Niech towarzysz Jemiellian Jarosławski sam się nad tym zastanowi, i niech sam wystąpi do KC z wnioskiem o likwidacji obu stowarzyszeń — i starych bolszewików, i byłych zesłańców politycznych. Kto będzie mógł potem powiedzieć, że towarzysz Stalin pozbywa się starych bolszewików? Nikt nie będzie mógł tego powiedzieć.

Jarosławski to mądry człowiek, wie, jak to załatwić. Są niemal rówieśnikami, obaj wstąpili do partii w 1898 roku, obaj byli za granicą, na konferencji bolszewików w Hammerfors w 1905 roku, na IV i V Zjeździe SDRR w 1906 i 1907. Jarosławski wywarł tam na NIM pozytywne wrażenie: spokojny człowiek, rewolucjonista — praktyk. Po rewolucji spotykali się na zjazdach i ON czuł, że Jarosławski MU sprzyja. Nienawidził Trockiego, całe życie nienawidził. To ON w 1923 roku wysunął Jarosławskiego na stanowisko sekretarza prezydium CKK. Dobrze pracuje w Komisji Kontroli Partijnej, jest bezlitosny wobec opozycjonistów i odszczepieńców. W przeciwieństwie do Ordżonikidze nie zgodził się na zbiorowe przyjęcie do partii wszystkich opozycjonistów po ich kapitulacji. Ordżonikidze udawał wtedy naiwnego prostaczka. ON jednak świetnie rozumiał, co się za tym kryje. Jarosławski też to rozumiał. Zuch! W lipcu 1928 roku znakomicie osadził Krupską: „Posunął się do tego, że pozwolił sobie pójść do chorego Lenina i skarżyć mu się na to, że Stalin ją obraził. To hańba! W tak ważnych kwestiach nie wolno mieszać osobistych urazów z polityką!”

Dobrze powiedział. Nie tylko dopiekl Krupskiej, ale też we właściwym świetle ukazał ten nieszczytny epizod, wskazał prawdziwą winowajczynię, podkreślił JEGO szlachetność, szlachetność towarzysza Stalina, który zjawiał się wtedy z przeprosinami i wziął wszystko na siebie, żeby tylko uspokoić chorego Iljicza. Zuch!

W partii Jarosławski cieszy się autorytetem, nie pretenduje do roli pierwszych skrzypiec. Na emigracji nie był, rdzenny rosyjski bolszewik — praktyk. Kilka takich poszczególnych nazwisk trzeba w partii zostawić. Głównym i uniwersyteckim nie kończył, ale jest wykształcony tak jak każdy rewolucjonista — samouk, pisuje szkice z historii partii, rozumie, jak prawidłowo należy naświetlać w historii znaczenie prawdziwego przywódcy, co prawda nie do końca rozumiał, w 1931 roku trzeba go było trochę ukierunkować, delikatnie ukierunkować: „Wyjątku nie stanowi tu, niestety, i tow. Jarosławski, którego książki, dotyczące historii WKP(b), niezależnie od ich wartości, zawierają cały szereg błędów o znaczeniu merytorycznym i historycznym”. Nie obraził się. Wszystko zrozumiał. I z tymi przytułkami też rozumie. Stowarzyszenie starych bolszewików ulegnie likwidacji, ale za to stary bolszewik Jemiellian Jarosławski zostanie.

C.D.N.

Tłumaczył: MICHAŁ B. JAGIELLO

Zawahał się, nim pocałował ją w czoło. Zrobiła to, czego nie robiła jeszcze nigdy: oddała mu pocałunek w rękę. Nie od razu podniosła głowę i nagle poczuł na palcach wilgoć jej gorących, obfitych łez. Potem zniknęła w łazienkę, a on błądził oczami po mieszkaniu, którego nie poznawał, choć przeżył w nim dwadzieścia pięć lat. Korytarz wyłożony był ciemną boazerią; ściany sypialni i pokoju stołowego pokrywały pastelowe tapety. W obydwu pomieszczeniach z uperlonych sztukaterii sufitów zwisały ciężkie, mosiężne żyrandole; tu i ówdzie tryskał światłem bliźniaczy kinkiet — autentyk z okresu Księstwa Warszawskiego. W stołowym pysznił się czarny jak heban komplet gdański i wiśniowa, skórzana kanapa z trzema głębokimi fotelami. Sypialnia przybrana była meblami a la Ludwik XVI. Docenił czystość i urodę parkietów wyszlanych dywanami, których próżno byś szukał w polskich sklepach. No, no! Dwa kolorowe telewizory — videoton i trochę mniejszy, japoński panasonic, ustawiony na wprost szerokiego łóża. Co jak co, ale panna raczej nie głoduje.

Opuściła łazienkę i uśmiechnęła się zaczerwienionymi lekko oczami.

— Chcesz umyć ręce?

— Skinął głową.

— Zrobię coś do jedzenia.

— Jestem po kolacji — zaprotestował, ale dziewczyna była już w kuchni. Pchnął szklane, przybrane holenderską zazdrostką drzwi i nim pochylił się nad zgrabną, kremową umywalką Rico, doznał szoku. Łazienka, czy może raczej pokój łazienki, wstrętne niedgdy i zaniedbane, przypominał komnatę faworytnej żony sultana z epoki rozkwitu dynastii Osmanów. Wanna też była kremowa, okrągła, wpuszczona w podłogę, wchodziło się do niej po schodkach. Granatowa, włoska glazura sięgała ze wszystkich stron sufitu. Marmurową terakotę pokrywał puszysty, czerwony kobieriec. Okucia półek, uchwyty do ręczników i armatura lśniły od niklu. W ścianie nad wanną wmontowany był modny, biały telefon bez tarczy, którą zastępowało dziesięć opatrzonych numerami przycisków. U okna stał mahoniowy stolik na kółkach.

Po co jej w łazience ten stolik? Zerknął na bidet i od razu odwrócił wzrok. Potem siedział w pokoju na kanapie i patrzył, jak blat niskiej, gdańskiej ławy zapelnia się stopniowo tym, o co w Polsce jest trudno i tym, o co w Polsce jest bardzo trudno, i to nawet wtedy, gdy masz chody w „Pewexie”. Był onieśmielony i skrepowany. Swoją drogą, mogłaby wykazać trochę taktu.

— Kieliszek wina czy brandy?
— Jestem samochodem.
— Na długo przyjechałeś?
— Nie. Wracam jutro po południu.
— Więc pościelę ci na kanapie.

— Innym razem — bronił się zmęczony. — Muszę być w hotelu, rano żną konferencję.
— Gdzie staniesz?
— W Grandzie.
— Przecież to dwa kroki.

Aby pokonać te dwa kroki, niepotrzebny był samochód, równie dobrze można było pokonać je pieszo. Zatem nie nie stało na przeszkodzie, aby posmakować alkoholu. Nie również nie stało na przeszkodzie, aby zrzęznował z hotelowej ryż i udał się rano na ważną konferencję wzrost z mieszkania córki. Te myśli odsunął jednak brutalnie.

— Dobrze — westchnął. Sam napełnił kieliszki. Wypił. Koniak był doskonały, więc powtórzył manewr kilkakrotnie. Niebawem zaczął jeść z apetytem i o co trudno było w kraju i to, o czym w kraju można było najwyżej pomarzyć. Schab, szynka bajorńska, kawior astrachański. Na deser kawa i wonne hawańskie cygaro. Dreszcz przeszedł go na myśl, że mogłaby zobaczyć to żona, stercząca codziennie ze swoją problematyczną migreną, w długich, kłótliwych kolejkach.

Tak czy owak, nerwy inżyniera odtajały wyraźnie. Nie czuł się już jak zdradliwy, nekany wyrzutami sumienia kochanek, spędzający noc w domu ładaczniczy. Był ojcem! Gościła go w końcu rodzona, najdroższa sercu córka.

Rozmowa biegła teraz swobodnie.

— Co u mamy? — zapytała nieśmiało Gejsza.

— Po staremu.

— Kweka?

— Ano, trochę kweka.

— Wspomina mnie czasem?

— Prawdę mówiąc, tylko w chwilach gniewu.

— Boże jak ja za nią tęsknię! Jak bardzo chciałabym ją zobaczyć!

Przysunęła się do oca i objęła go kurczowo swymi krągłymi, pachnącymi ramionami.

— Nie odrącaj mnie tak zupełnie — szepiała całując go w ciepłą zaklesłość policzka. — Przecież czasem spotkaj się ze mną czasem, choćby w obcym mieście.

— Pomyśl o tym — powiedział głosem ochrypłym ze wzruszenia. Przetknął sline. Otarł grzbiętami dłoni mokre od potu czoło. Wstał i pośzedł do okna, które wychodziło na podwórkę i zobaczył w innym wysokim oknie iakaś ładną, chłopięcą znajomą chybłą twarz. Zaczynał się płakać, żeby się nie rozpłakać. W głowie błysnęło odległe wspomnienie szkoły. Na lekcjach polskiego przerabiali sławną powieść Balzaka i starsi, cnielni uczniowie mówili o tytułowym bohaterze z pełną słodczy pogardą: — Ojciec Woriot.

On też był ojcem Woriotem. Ciągłe jeszcze nie wyrobił się złudzeń. Ciągłe jeszcze czepiał się nadziei, że córka przywróci mu sens życia. Kiedy usłyszał za plecami szelest jej cichych, konnych kroków odwrócił się i chwycił ją z całej siły za ręce, i teraz ona widziała ponad jego ramieniem młodą przystojną twarz chłopca w oknie, a starzejący się człowiek mówił rwałymi się, eksplodującymi żalem słowami:



Rys. Janusz Szymański-Glanc

— Marzyłem, że wyjdiesz za mąż, że będziesz miała swój cichy, miły, uczciwy dom i że może kiedyś, wiesz, może któregoś nocy albo któregoś dnia obdarujesz mnie wnukiem.

— Kto wie, tatusiu — powiedziała żarliwie Gejsza. — Może kiedyś doczekasz się wnuka.

Przyciągnęła ojca do siebie nie zważając na chłopca, który wciąż tkwił w oknie. Chłopiec ten jest kolejną kluczową postacią naszego dramatu.

Wicher

Jacek T. mieszkał na trzecim piętrze w drugiej lewej oficynie domu numer 84. Miał siedemnaście lat i znajdował się aktualnie w klasie maturalnej, jako że matka posłała go do szkoły z rocznym wyprzedzeniem, wychodząc ze słusznego założenia, że skoro ma płacić za przedszkole, to niech on lepiej wręcznie się od razu w kierat darmowej nauki. Nie znaczy to oczywiście, że Jacek T. był jakimś nadzwyczajnym geniuszem, ale nikt mu nie musiał zaglądać do kajetów i książek, czego nie odrobił, to wciągnął, czego mu nie kupili, to ukradł, do brzo liczył, chętnie czytał, przejawiał niewątpliwą smykałkę do męskich dyscyplin sportowych, a w mordę bił nie zważając na wiek i kaliber przeciwnika.

Za Jackiem T. od najmłodszych lat przepadały dziewczęta, więc cnoty pozbył się w sposób naturalny i słodki. Można by stąd wysnuć błędny wniosek, że Jacek był chłopcem sympatycznym. Otóż, nie! Jacek był wysoki, szczupły i przystojny. Jacek miał wąskie, stalowe oczy i zdrowe, złociste włosy z tak zwanym wicherkiem, który zwykłe pieje osobnikom rodzaju męskiego na czubku głowy, a Jackowi wybuchł na czoło, co sprawiło wrażenie, jakby nieustannie skierowany był na niego silny strumień powietrza, i co dawało gwarancję, że gdyby Jacek dożył przypadkiem sędziwego wieku, zawsze pozostanie w nim ślad chłopięcej urody. Przy tym jednak charakter Jacka należał do trudnych. Miał nieruchomą twarz i wiecznie zasznurowane usta. Mówił twardo, krótko, bez intonacji. Uśmiechał się rzadko i był to zazwyczaj uśmiech szczerzącego zęby tygrysa. Mimo wszelkich istotnych przysłów, nie zdradzał skłonności przywódczych; był bez przyjaciół, bez kolegów; nie związał się na trwałe z żadną dziewczyną; nie tańczył, nie słuchał muzyki, nie chodził na prywatki i zabawy; nie narkotyzował się i nie pił, palił natomiast amerykańskie papierosy. W wolnych chwilach laził godzinami po mieście albo przesiadywał w kinach: żuł gumę i wsłuchiwał się w trzask repetowanych karabinów. W domu miał wiatrówkę marki Diana odziedziczoną po starszym bracie. Kiedyś wiatrówka egzystowała na prawach zabawki, potem uzyskała status broni i trzeba było ją rejestrować. Nie zrobił tego, Strzelał z okna

do gołębi na kominach. Powybił wszystkie żaby w okienkach na strychu. Niejaki Brudas złożył na Jacka donos, więc przyszli chłopcy w mundurach i zabrali mu wiatrówkę. Wówczas zaczął interesować go dynamit.

Rodziców Jacka miał wspaniałych. Matka, jak to pięknie określają poeci, uległa gorącym porzywom serca i opuściła go, gdy skończył osiem lat, aby wyjść powtórnie za mąż za jakiegoś safandulę z Wybrzeża. Z czasem starszy brat pouczył Jacka, że poeci kłamią; gorące porwy serca znaczą akurat tyle, co taniec penisu z waginą. Ojciec Jacka też był wspaniały: wyemigrował z kraju przed przyjściem chłopca na świat. Sprawiedliwie będzie dodać, że ojciec nie prosił wcale Pana Boga o to dziecko i że z kraju chciał wyjechać dużo wcześniej, dokładnie: w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku, w owym brzydkim okresie, kiedy część polskiej inteligencji mogła uciekać się o paszport w jedną stronę, bez prawa powrotu.

Był ojciec Jacka znanym rysownikiem i karykaturzystą. Współpracował z wieloma szacownymi tytułami; miał etat w satyrycznym dwutygodniku i pół etatu w redakcji filmów animowanych. Żył dostatnio, wszelako, kiedy nadarzyła się sposobność, zamierzał wyemigrować, czemu stanowczo sprzeciwiła się żona.

— Sam nie wyjedziesz, bo nie dam zgody. Masz przecież na utrzymaniu dziecko (chodziło o starszego, jednego wówczas syna, Bernarda, który rozpoczął właśnie studia ekonomiczne). My z tobą też nie wyjedziemy, bo nie chcemy zdychać z głodu i spać w przytułkach.

Karykaturzysta przyczaił się więc. Żył z żoną pod psem, ale od czasu do czasu łączyło ich łożo i ku zaskoczeniu obydwójga, kobiecie, która przekroczyła już czterdziestkę, zaokrąglił się nagle brzuch. W siedemdziesiątym pierwszym roku, kiedy zbliżało się rozwiązanie i mały Jacek torował sobie z wigorem drogę na padół żoryczy i łoża, tata wyjechał z „Orbisem” na trzydzienną wycieczkę do Wiednia i już nie wrócił. Nie był na pepkowinach i nie był na chrzeinach. Nie ucałował noworodka w czoło. Przysłał jeno sto dolarów i pełen skrucy list, w którym zapewniał, że wszystkich bardzo kocha i że wszystkiego bardzo żałuje, ale dalej już w tym chamskim, komunistycznym bagnie żyć nie potrafi.

Karykaturzysta-dezertera wyręczył w obowiązkach rodzicielskich jego syn pierworodny, Bernard. Zrobił to zaiste z wielką miłością i poświęceniem. Starszy od Jacka o dwadzieścia dwa lata, był mu bardziej ojcem niż bratem. Woził go na spacerach do parku i kołysał do snu. Opowiadał mu bajki-straszki. Odprowadzał małego do szkoły. Na imieniny, urodziny i na gwiazdkę Jacek otrzymywał od Bernarda kosztowne prezenty. Kiedy matka odeszła do swo-

jego bogatego safandulę na Wybrzeżu, potroili starania o chłopca, który mimo swego szczenięcego wieku zdawał się być lekko zniechęcony do świata.

Bernard został magistrem ekonomii, ożenił się i wyprowadził na Teofilów. Nie miał dzieci i w dalszym ciągu trzymał nad Jackiem pieczę. Bywał u niego co drugi dzień. Uczył go, udzielał mu rad. — Jeśli ktoś cie uderzy, nigdy mu nie oddawaj. Poczekaj, aż się odwróci. Wtedy skocz mu na plecy, złap za włosy, przewróć na pleamię i kopnij. I pamiętaj, że życie jest tylko jednym rozdaniem kart, a kartom trzeba nieraz pomóc.

Nie znaczy to wcale, że po wyprowadzeniu się, kolejno, ojca, matki i brata Jacek został w ponurym dwupokojowym mieszkaniu sam. Cały czas od chwili narodzin miał przy sobie babkę po kądzieli. Trudno powiedzieć, czy babka była we wnuku bezgranicznie zakochana. Można natomiast z całą pewnością powiedzieć, że była mu bezgranicznie oddana. Prala, gotowała, sprzątała. Zimą chodziła po węgiel do komórki i paliła w piecach. Teraz, wiosną osiemdziesiątego ósmego roku, dobiła już kresu swojej pracowitej ziemskiej wędrówki i Jacek często wyręczał ją w zakupach. Bernard tymczasem rzucił groszową posadę w biurze i smarując gdzie trzeba, otworzył stragan w rynku przy placu Niepodległości. Oszukując na sto różnych sposobów Urząd Skarbowy, zdołał jakoś spłacić bunkier w blokach i kupić używany samochód. Przrzekł Jackowi:

— Pomogę ci, jak pójdziesz na studia.

— Nie pójdę na studia — odparł Jacek.

— Dlaczego?

— Po co mam się męczyć? Wcześniej czy później trafię do twego straganu i będę sprzedawał bluzki.

— Na miłość boską, chłopie! Ale maturę chyba zdasz?

— Zdam albo nie zdam. Grozi mi lufa z fizyki. Wiesz, co ta kurwa powiedziała? — Jak podpiszesz zobowiązanie że nie staniesz do matury postawie ci tróję. W ten sposób otrzymasz świadectwo ukończenia szkoły, a egzamin maturalny złożysz za rok. — I mnie to wystarczy.

— Ale mnie nie wystarczy. Chcę, żebyś miał przynajmniej maturę. Pogadam z tą kurwą.

— Nic nie wskąrasz. Ona mnie kiedyś zaprosiła do domu i powiedziała, żebym wszedł do łóżka. Nie musisz się nawet ruszać — powiedziała. — Będę cię tylko całować i pieścić.

— I czemu tego nie zrobisz, idioto?!

— Wstrętna!

— Przecież to niestychanie podniecające!

— Jak się słucha z daleka, to podniecające, ale jak spojrzysz z bliska w taki okniasty, pomarszczony dziób...

— Ja ją ciachnę!

— Nie ciachniesz. Ona ma słabość do młodzieży.

— Więc może ją trzeba posmarować?

— Uczciwa! Z jednej strony kurwa, a z drugiej kryształ.

— Bzdury! A w ogóle, to czemu ty nie masz jakiejś stałej dziewczyny?

— Będę miał dziewczynę.

— Kiedy?

— Niedługo.

— Upatrzyłeś sobie kogoś?

— Tak.

— Kogo, jeśli wolno zapytać?

— Gejszę.

— Ty chyba zwariowałeś?!

— Nie. Wcześniej czy później będę ją miał.

— To jest dopiero kurwa nad kurwami!

— A mnie się zdaje, że to najuczciwsza dziewczyna w tym mieście.

— Starsza od ciebie o pięć — sześć lat.

— Nie szkodzi. Będę ją miał. Jakbyś dał mi sto tysięcy, miałbym ją jutro.

— Sto?

— Sto.

— Już ci daję te sto tysięcy, Wicher! I to w twardy walute.

Uderzył lekko Jacka w pierś, po czym objął go swoim niedźwiedzim ramieniem Kocha! się. Bardzo się kochał! Łączył ich węzeł silniejszy niż śmierć. A śmierć była blisko. Śmierć była w głowie jednego i drugiego brata, tylko bał się jeszcze o tym mówić.

C. D. N.

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

ZDANIEM POLSKIEGO KLUBU EKOLOGICZNEGO

Polski Klub Ekologiczny z siedzibą w Krakowie nadesłał do redakcji „Odgłosów” — podobnie jak i do innych redakcji — list adresowany do premiera Mieczysława F. Rakowskiego w sprawie likwidacji Huty „Siechnice” koło Wrocławia. Poniżej publikujemy fragmenty tego listu.

Polski Klub Ekologiczny domaga się natychmiastowej likwidacji Huty „Siechnice” oraz zamknięcia zamaru budowy nowej huty w Siechnicach. Każda huta zlokalizowana na tym terenie będzie stanowiła potencjalne zagrożenie ujęć wodociągów dla Wrocławia oraz okolicznych osiedli. Polski Klub Ekologiczny uważa termin likwidacji Huty „Siechnice” za zbyt odległy.

Huta „Siechnice” ma przestarzałą technologię procesów produkcyjnych, zdekapitalizowane urządzenia, powoduje degradację środowiska naturalnego, stanowi zagrożenie zdrowia i życia ludności na okolicznych terenach, w tym 700.000 mieszkańców Wrocławia. Przypadek takiej lokalizacji huty i ujęć wodociągów jest ewenementem w skali światowej.

W związku z powyższym Huta „Siechnice” powinna być zlikwidowana w pierwszej kolejności przed innymi zakładami, które w takim stopniu nie zagrażają środowisku.

Huta „Siechnice” rozpoczęła produkcję w czasie drugiej wojny światowej w Polsce Huta podjęła produkcję w 1951 r. Zwiększenie produkcji hutniczej uzyskiwano niewielkimi nakładami inwestycyjnymi. Huta produkuje z importowanej rudy około 22 tysiące ton żelazochromów rocznie. Jest ona wraz z hałdą żużli żelazochromowych zlokalizowana w strefie ochrony ujęć wody pitnej dla Wrocławia. Hałda żużli żelazochromowych znajduje się w odległości 200 m od granicy terenów wodociągów oraz w odległości 500 m od najbliższych studni. Z Huty wydostają się do atmosfery duże ilości wysokotekcyjnych par, gazów i pyłów — około 2200 ton na rok. Na hałdę odprowadza się rocznie około 100 tysięcy ton żużli. W składzie pyłów i żużli znajdują się znaczne ilości metali ciężkich, tj. chromu, ołowiu, żelaza, manganu, niklu, cyny i miedzi.

Przez piaszczyste warstwy powierzchniowe terenów wodonośnych wraz z wodą gruntową trafiają metale ciężkie do ujęć wodnych. Jak wiadomo metale ciężkie są substancjami mutagennymi, rakotwórczymi i uszkadzają układ immunologiczny człowieka, co powoduje poważne zmniejszenie odporności na infekcje.

Z przeprowadzonych badań lekarskich wynika:

— wśród mieszkańców Wrocławia udział zgonów na nowotwory złośliwe wzrósł w latach 1975—1985 z 19,8 proc. do 23,4 proc.,

— u dzieci zamieszkałych w okolicach Huty „Siechnice” został ośmiokrotnie przekroczony dopuszczalny poziom chromu we krwi, co może spowodować zmiany genetyczne.

Wszystko to nasuwa retoryczne pytanie: co jest ważniejsze: produkcja 22 tysięcy ton żelazochromów, czy zdrowie i życie 700 tysięcy mieszkańców Wrocławia i okolic?

Polski Klub Ekologiczny we Wrocławiu z wieloma organizacjami, w tym z Naczelną Organizacją Techniczną i Środowiskami Naukowymi czynił od kilku lat starania o zlikwidowanie Huty „Siechnice”. W zaistniałej obecnie sytuacji — zgodnie ze statutowymi uprawnieniami, Polski Klub Ekologiczny występuje niniejszym listem i oczekuje odpowiedzi.

Jednocześnie prosimy o podanie treści odpowiedzi do wiadomości publicznej.

NA REKONSTRUKCJĘ ULICY PIOTRKOWSKIEJ

Z Okręgowego Przedsiębiorstwa Surowców Włókowych „Włópol” w Łodzi otrzymaliśmy informację, że przeznaczono ono na rekonstrukcję ul. Piotrkowskiej 3 000 000 złotych, to jest 0,1 proc. wartości rocznej sprzedaży. Załoga „Włópolu” wzywa inne przedsiębiorstwa do naśladowstwa i przekazywania pieniędzy na rekonstrukcję ul. Piotrkowskiej.

Załoga „Włópolu” podjęła się też prowadzenia społecznej zbiórki surowców włókowych na rekonstrukcję ul. Piotrkowskiej. Dostarczone nieodpłatnie surowce włókowe będą segregowane i sprzedawane a uzyskane pieniądze przekazywane na konto Społecznego Komitetu Odnowy ul. Piotrkowskiej.

A JEDNAK SĄ BIOPRADY!

W 51 numerze „Odgłosów” z 18 grudnia 1988, w rozmowie pod tytułem „Nie ma żadnych bioprądów”, dr Marek Szyburski („wykładowca Akademii Medycznej w Łodzi i wiceprzewodniczący łódzkiego oddziału Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego”), był uprzejmy nie odmówić odpowiedzi na pytanie dotyczące akupunktury — w przedmiocie której nie jest kompetentny wypowiedział fachowych sądów. Ponieważ jednak poglądom swoim dzieli się z tysiącami czytelników i dziesiątkami pacjentów leczonych akupunkturą, koniecznym staje się niniejsze sprostowanie.

Akupunktura jako metoda lecznicza jest uznana w Polsce przez Ministerstwo Zdrowia. Specjalistą od spraw akupunktury przy ministrze zdrowia i opieki społecznej jest profesor Zbigniew Garnuszeński, przewodniczący Polskiego Towarzystwa Akupunktury i kierownik Centralnej Poradni Leczenia Akupunkturą w Warszawie.

Tłumaczenie skuteczności akupunktury wyłącznie działaniem psychoterapeutycznym — mijają się z prawdą. Natomiast wpływ psychoterapeutyczny w każdym postępowaniu lekarskim powinien wywierać każdy lekarz, a zatem także lekarz wykonujący zabieg akupunktury. „I tu wszystko się pomieszało. Bioprądy nie ma!” — mówi doktor Marek Szyburski. — Oj, pomieszało, pomieszało. Zapomniał że istnieje EKG, EEG, EMG itd. Zapomniał, że każda żywa komórka wytwarza „elektryczność”. Ze tę zmierzyć można w kilohmach, mikrofaradach, mikrovoltach. Nie wiedział, że zmierzyć ją można w punktach akupunktury, które lekarz nakłada igłą. Ze inne wartości odczytuje się w tych punktach, inne w otaczającej skórze i jeszcze inne w przypadku zmian chorobowych w poszczególnych narządach. Sfotoğrafowano w specjalnym polu elektromagnetycznym tę bioenergię wytryskującą jak fontanną z punktów akupunktury.

Oprócz neurofizjologicznego działania akupunktury, znany jest wpływ zabiegów i kuracji akupunkturą na czynności hormonalne i biochemiczne człowieka. Zastosowanie akupunktury w weterynarii o którym nie słyszał doktor Marek Szyburski, ma historię sięgającą lat 1300—1027 p.n.e. Chiński podręcznik pt. „Liaomaj”, poświęcony akupunkturze zwierząt, wydany był w 1608 roku. (Nie namawiam do czytania). Obecnie w każdej prowincji chińskiej czynne są instytuty akupunktury, w których prowadzi się badania naukowe na zwierzętach.

Akupunktura skuteczna jest nie tylko w zaburzeniach czynnościowych. Oczywiście nie stosuje się jej celem wyleczenia nowotworu. Widziałem efekty zabiegów wykonywanych przez profesorów i lekarzy chińskich, koreańskich, wietnamskich, indonezyjskich oraz profesora Zbigniewa Garnuszeńskiego — ustępowanie w niektórych schorzeniach zmian morfologicznych, organicznych. I sam również mógłbym przedstawić np. przypadek wyleczonego

przeze mnie akupunkturą wieloletniej egzemy, u stomatologa, nieskutecznie leczonej dermatologicznie i bez „samowyleczenia” w okresach przerw w leczeniu.

Nie ma potrzeby mnożyć przykładów. Kwestia skuteczności akupunktury również w niektórych przypadkach nie poddających się leczeniu farmakologicznemu jest w równym stopniu bezsporna w świetle naukowym, jak bezzasadne okazuje się podawanie w wątpliwą celowość stosowania akupunktury przez lekarzy specjalistów przeszkolonych na kursach i stażach organizowanych przez Centrum Doskonalenia Kadr Lekarskich.

LUDWIK GEBEL

SZCZĘŚCIE W KOPERCIE

Ktoregoś wieczora wracam do domu mokry i zmęczony (na dworze deszcz i wiatr, ulice ciemne i dziurawe, a nasi kierowcy niezwykle dowcipni) i co znajduję? Szczęście. Właściwie nie było, to jeszcze ono samo, ale już prawie tak jakbym był jego posiadaczem. W skrzynce na listy leżała koperta, a w niej „łańcuszek szczęścia”.

Wystarczyło usiąść przy stole, wyrwać z byle jakiego zeszytu dwadzieścia kartek (choćby tak niechlujnych jak ta, którą dostałem), przepisać kilka linijek tekstu, wysłać do znajomych i czekać na zapowiadane szczęście. Ogarnięty pragnieniem rychłego opadu „manny z nieba” omal nie zламаłem stałowi, ale po przepisaniu pierwszej kopii dotarł do mnie fakt, że tekst nie bardzo kupy się trzyma.

„List ten napisany jest, abyś miał szczęście” — zaczyna się „łańcuszek”. Następne zdania tłumaczą skąd, dokąd i po co taki list wędruje — dotąd nie potrafię odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Kolejne wiersze instruuja adresata co powinien uczynić, żeby szczęście się od niego nie odwróciło. Pewien oficę dostał cztery miliony dolarów (i nie wie skąd), ale nie wysłał listu dalej i wkrótce stracił żonę.

Przerazoni myślą, że wkrótce pożegnają kogoś z bliskich przepisałem drugą kopię. Uświadomiłem sobie jednak, że w przykładowych podanych w liście giną niebezpieczni adresaci albo ich żony. O babkach, wujach, teściowych nie ma ani słowa. Odetchnąłem. Tym razem nikomu nie grozi. Ryzykuję tylko własną skórą. „Nie ignoruj tego listu. Ten list działa. Z poważaniem”. — stane mi przed oczami słynne słowa „łańcuszka”. Zaczęłem od nowa przepisywać historię listu, który obszedł świat pięć razy.

„Oryginał tego listu znajduje się w Nowej Zelandii (...) łańcuszek pochodzi z Wenezueli (...) napisany jest przez misjonarzy w Afryce” — jakiś oryginał to pisał. A w dodatku dowcipny — „po kilku dniach otrzymasz niespodziankę” — umiesz ty albo twoja żona; nie wiadomo co lepsze.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Jęzna kopię, to przy okrobinie szczęścia cztery miliony dolarów — jak u tego oficera. Z prostego rachunku wynika, że 20 kopii to 80 milionów. Gdyby tych kopii było 10 tys., zysk z ich otrzymania pokryłby nasze zadłużenie zagraniczne. Postanowiłem — wysłać moją „łańcuszki” pod adresem Urzędu Rady Ministrów. A do wszystkich „szczęśliwych” posiadaczy podobnych listów zaapeluje.

Kochani! Zróbcie to co ja. Może to jest tak długo poszukiwane antidotum na wszystkie nasze problemy? Przysłowie mówi, że tonący brzytwy się chwyci. Chwycymy więc za pióra i stańmy do zbrodnego pisania (dwadzieścia razy to samo) — do naszego wspólnego dobra. Jutro naszego kraju w naszych rękach.

Tylko, czy ten pomysł uda się wprowadzić w życie. Czy zdążymy wysłać listy w przepisany czas 96 godzin?

A jeżeli się nie uda, to co wtedy? Może jakaś powódź, wybuch albo zabłąkany meteor? Zwątpiłem. Zamiast narażać przyjaciół, lepiej ryzykować samemu. „Jeżeli nie uierzysz w zabobony, zobaczysz co się stanie” — informuje „życzliwy” mi autor listu. Nie uwierzyłem w te groźby. A co z tego wyniknie zobaczymy. Na razie tylko zdrożał alkohol.

MAREK JUŚKIEWICZ

KTO NAPRAWI STARY ZEGAREK?

Mam stary srebrny zegarek kieszonkowy, pamiątkę po dziadku. Na kopercie wybity jest rok 1843. Złamała się w nim mała wskazówka (godzinowa), chciałem go naprawić i udałem się do zegarmistrza. W punkcie usługowym mieszczącym się przy ulicy 11 Listopada młody zegarmistrz chciał mi ją wymienić. Niestety, wskazówka jaką miał nie pasowała — o kilka setnych milimetra, ale nie pasowała. Z przykrością stwierdził, że naprawy dokonąć nie może. Zapomniałem gdzie w takim razie mógłbym się zwrócić? Odpowiedział mi, żeby poprosić o starych zegarmistrzów, którzy pracując długo w swoim zawodzie mogą taką wskazówkę mieć, ewentualnie wymienić mi cały komplet (dużą i małą), aby zachować styl zegarka. Podał mi też adres „starego fachury”, który zajmuje się naprawą starych zegarków.

Udałem się na ul. Jaracza 1. Rzeczywiście w zakładzie pod szybą jest wyłożonych sporo starych zegarków. Zegarmistrz obejrzał zegarek i oświadczył, że takiej wskazówki nie ma i naprawy dokonąć nie może. Zaproponował mi kupno nowego zegarka. Gdy zdziwiony zapytałem, po co mu uszkodzony zegarek, powiedział, że sobie to on go naprawi. Sobie — tak, mnie jako klientowi — nie. Z niesmakiem wyszedłem.

Od kolegi dowiedziałem się o jeszcze jednym fachowcu. W zakładzie przy ul. Kiłińskiego 93 zegarmistrz po obejrzeniu zegarka powiedział mi, że naprawy dokonam, jednak potrwa to około 2 tygodni, gdyż wskazówkę taką musi gdzieś zamówić. Ucieszyłem się, że wreszcie trafiłem pod dobry adres. Radość była przedwczesna. Po dwóch tygodniach wskazówki jeszcze nie było, a pojawiła się propozycja kupna zegarka. Z propozycji nie skorzystałem, a zegarmistrz polecił mi zgłosić się za tydzień — wskazówka ma być na 100 procent. Za tydzień nie było, za dwa też nie, za trzy również. Wreszcie 28 października 1988 r. (pierwsza moja wizyta u tego zegarmistrza miała miejsce 8 września) zegarmistrz oświadczył, że wskazówki nie będzie miał i naprawy nie dokonam. Wkurzyłem się i wyszedłem.

Zegarek będę starał się naprawić, przecież to chyba niemożliwe, żeby wszyscy zegarmistrzowie byli tacy, jak ci dwaj.

PAWEŁ ŁASZCZ

BEZ PISEMNEGO POTWIERDZENIA WICHURA JEST NIEWAŻNA!

Chwyciłem za pióro, by opowiedzieć wam historię, która, jak dotąd sądziłem, może wydarzyć się jedynie w humoreskach na temat biurokracji. Otóż, jak pamiętamy, 29 listopada 1988 roku przetoczyła się po naszych terenach gwałtowna wichura, wyrządzając masę szkód. Pech chciał, że akurat tego dnia do jednej z sieradzkich spółdzielni (której jestem pracownikiem) PKP dostarczyły wagon ze stałą. Wiadomo, trzeba szybko rozładować, gdyż inaczej płaci się wysokie kary. Do takiego rozładunku potrzebny jest dźwig, który mieliśmy, lecz wichura uniemożliwiła jego pracę, groziło to wypadkiem. Szybko dogadaliśmy się z kolegą, iż wskutek niezalegania od nas warunków atmosferycznych od-

stąpimy od rozładunku, a oni nie naliczą kary. Warunkiem było wystosowanie do nich pisma potwierdzonego przez Wydział Ochrony Środowiska, że była wichura.

Trochę wydawało się nam dziwne, że trzeba potwierdzić to, co oczywiste, ale machnęliśmy na to ręką. Sprawa wydawała się prosta i klarowna. Niestety. Odnosny Urząd odmówił potwierdzenia, odsyłając nas do dyrekcji przy Urzędzie Wojewódzkim. Tam dowiedzieliśmy się, iż nie leży to w kompetencji dyrekcji i zaczęła się biurokratyczna kołomyja. Odsyłano nas od wydziału do wydziału, wszędzie tylko bezzadanie rozkładano ręce: — no tak wiemy, wiało, ale co my możemy, nam nie wolno.

Wędrując po poszczególnych szczeblach i schodach wyładowaliśmy wreszcie w sekretariacie Wojewody! Tam bardzo miłe panie wykonały kilka telefonów i znalazły wydział komunikacji, który zgodził się potwierdzić to, co oczywiste. Odetchnęliśmy i rażno wkroczyliśmy na pokój. Tam jeden z panów najpierw obśmiał się z naszych peregrynacji, a później, zymając się na biurokrację spróbował załatwić sprawę z PKP telefonicznie, niejako z urzędu.

Usłyszał od naczelnika, że mają taki przepis i basta. Mało tego, nawet gdy wydział komunikacji UW potwierdził fakt wichury, to PKP i tak nie będzie tego honorować, bo potwierdzić może tylko wydział ochrony środowiska. Ręce nam opadły i zwątpiliśmy w możliwość uzyskania magicznego potwierdzenia.

Spróbowaliśmy jeszcze raz. Sporządzone zostało oficjalne pismo ze wszystkimi pieczęciami i przekazane na dziennik w sekretariacie. Otrzymałmy również oficjalną odpowiedź.

„Wydział nie jest w stanie się wypowiedzieć, w jakim zakresie silne wiatry więcej w dn. 1988.11.29 miały wpływ na pracę dźwigu i rozładunek wagonu ze stałą”.

Nieoficjalnie poradzono nam, by udać się do odległego o 50 km Wielunia, tam znajduje się Obserwatorium Meteorologiczne (podległe wydziałowi) i tam otrzymamy potwierdzenie. Cóż było robić. Pojechalismy.

Tam znów figa z makiem. Niestety obserwatorium takich potwierdzeń nie może wydawać, udziela informacji tylko milicji i prokuraturze, ale dostaliśmy kolejny adres... w Poznaniu. Tam ponoć (pan zaklinał się, że to prawda) wydają także potwierdzenia (odpłatnie). Wystaliśmy tam pismo. Nie wiem, co będzie dalej.

TOMASZ IGNACZAK
(Sieradz)

KIEDY POWSTAŁ TRJN?

Włodzimierz Krzemiński w publikacji „Lewym okiem — Pan prezydent powiedział” („Odgłosy” nr 50/88) popełnił dwa duże błędy, dotyczące najnowszej historii Polski. Napisał: „Jak wiadomo jesienią roku 1944 powstał w Lublinie Tymczasowy Rząd Jedności Narodu”.

Podat też, iż wybory w Polsce odbyły się w 1946 roku.

Tymczasem... Od 21 lipca do grudnia 1944 władzę na wyzwolonej części terytorium Polski sprawował Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, przekształcony 31 grudnia 1944 w Rząd Tymczasowy RP, który istniał do czerwca 1945. 28 czerwca 1945 utworzono Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, działający do lutego 1947. Premierem pozostał Edward Osóbka-Morawski, a jednym z wicepremierów i ministrów rolnictwa i reform rolnych został Stanisław Mikołajczyk. Kraje zachodnie uznały TRJN wkrótce po jego powstaniu.

Wybory do Sejmu Ustawodawczego odbyły się w styczniu 1947 roku.

W 1946 roku odbyło się słynne referendum ludowe.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

INSTYTUCJE WYJAŚNIAJĄ

Inż. KRZYSZTOF JAROCIŃSKI z PGM Łódź-Górna wyjaśnia, że Iwona Karpińska z ul. Leśmiana 5 m 56 została już poinformowana o sposobie załatwienia jej sprawy. I tak stolarka okienna nie kwalifikuje się do naprawy i może to Iwona Karpińska zrobić we własnym zakresie. Wymiana stolarki balkonowej przewidziana jest na 1990 rok. Uzupełnienie tynków było robione dwukrotnie: 13.11.1987 r. i 02.02.1988 r. Ponowne uszkodzenia powstały z winy lokatorki. Również wymiana podłóg nastąpi w 1990 roku. Dezynsekcję robiono w lipcu 1988 roku, a następnie 15.12. 1988 roku. Kontrole nie wykazują obecności insektów.

Mgr TERESA GUMIŃSKA — zastępca dyrektora Wydziału Handlu UML wyjaśnia, że na kiermaszu PSS „Społem” przy ul. Piotrkowskiej 44, albo w Okręgowym Przedsiębiorstwie Przemysłu Mięsnego. Konserwy kierowane do sprzedaży są odpowiednio badane. Przy czym mgr Teresa Gumińska zwraca uwagę, że niekiedy konserwy mają wybrzuszenie z powodów technicznych — przeładowanie lub nieodpowiednie denko — i nie są wcale złej jakości. Mgr Teresa Gumińska dziękuje A. Bartzakowi za sprostowanie, dzięki którym kierownik sklepów zwrócono uwagę, że oni stanowią ostatnie ogniwo łańcucha kontroli jakościowej konserw i podejrzane konserwy powinni kierować do ponownych badań.

Mgr MICHAŁ CZACKI z Okręgowej Dyrekcji CPN w Łodzi informuje, że od 01.12.1988 roku wszyscy taksówkarze mogą kupować paliwo we wszystkich stacjach CPN podobnie jak inni klienci CPN. Stacje przeznaczone tylko dla taksówkarzy przestały pełnić tę funkcję.



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Wracamy po świątecznej przerwie do dyżurów reporterskich przy telefonie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

5 stycznia — BOGDA MADEJ — godzina 10—15.

12 stycznia — EUGENIUSZ IWANICKI — godzina 10—15.

Markus

USPOLECZNIONE ZAKŁADY USŁUG MARKETINGOWYCH
M A R K U S S A

Z A P R A S Z A J A

na:

* PROMOCYJNY BAL KARNAWAŁOWY *

który odbędzie się w

RESTAURACJI „KASKADA”
w Łodzi

w dniu 14.01.1989 r.

Informacja i sprzedaż zaproszeń, Łódź, ul. Sobolowa 1, tel.
74-80-51, w. 22, 74-50-05.

3649/K

WESTA

**w Nowym Roku
nowe szanse
dla Ciebie
również**

SPÓŁDZIELCZY ZAKŁAD UBEZPIECZEŃ

Z A T R U D N I

OSOBY Z ODPOWIEDNIMI PREDYSPOZYCJAMI,
na stanowisko

* REJONOWY POŚREDNIK UBEZPIECZEŃ *

w układzie stałej umowy o pracę
lub na umowę zlecenie.

Wyjątkowo dobre warunki płacowe — prowizje.
Westa zapewnia, że sześciocyfrowe prowizje dla operatywnych pracowników nie są u nas czymś wyjątkowym.

ZASTANÓW SIĘ!

MOŻE WŁAŚNIE TEGO SZUKASZ!

Nasz adres: Łódź, ul. Nowotki 8, tel. 32-56-61.

8139/K

Polmatex Majed

LÓDZKA FABRYKA MASZYN JEDWABNICZYCH
W ŁODZI

producent maszyn dla przemysłu włókienniczego i chemicznego

O R G A N I Z U J E

PRZESZKOLENIE i PRACĘ

w zakresie obsługi obrabiarek sterowanych numerycznie, obrabiarek skrawających, centrów obróbkowych, galwanotechniki oraz montażu maszyn włókienniczych również dla absolwentów techników.

O F E R U J E

atrakcyjną pracę
INŻYNIEROM i TECHNIKOM

szczególnie w specjalnościach:

- technologii budowy maszyn
- konstrukcji maszyn włókienniczych
- konstrukcji form do tworzyw sztucznych
- konstrukcji oprzyrządowania do obróbki skrawaniem i plastycznej
- powlekania galwanicznego i lakierniczego.

Z A T R U D N I

PRACOWNIKÓW WYKWAŁIFIKOWANYCH

i do przyuczenia w zawodach:

- ▲ TOKARZ
- ▲ FREZER
- ▲ WIERTACZ
- ▲ SZLIFIERZ
- ▲ ŚLUSARZ
- ▲ MONTER MASZYN
- ▲ BLACHARZ
- ▲ ELEKTRYK
- ▲ ELEKTRONIK

I N F O R M U J E

iz

MONTERZY MASZYN, ELEKTRYCY i ELEKTRONICY

delegowani są do prac przy montażu do wielu krajów świata.

Chętnym umożliwiamy podjęcie dodatkowego zatrudnienia na terenie przedsiębiorstwa.

Nie przyjmujemy osób po porzuceniu pracy.

Posiadamy ośrodki czasowe nad morzem i rzeką Wartą, prowadzimy wymianę czasów z przedsiębiorstwami w NRD.

Szczegółowych informacji udziela Dział Kadr i Szkolenia Zawodowego, Łódź, ul. Żeromskiego 96, tel. 36-05-26 lub 36-57-00, wew. 115.

7825/K

Polmatex Majed

BUDOWLANA
SPÓŁDZIELNIA
RZEMIEŚNICZA

„RENOWACJA”

w Pabianicach, ul. 20 Stycznia 18
tel. 15-17-26 lub 15-17-42

P R Z Y J M I E

do wykonania

* ROBOTY *

parkieciarskie, malarskie, instalacyjne, elektryczne,
kotlarskie (wysokociśnieniowe), brukarskie.

Spółdzielnia posiada w sprzedaży

* SIATKE OGRODZENIOWA *

3648/K

Kiedy w wyniku pierwszego rozbioru (1772) zwały się na karki poczytywać mieszkających południowo-wschodnich kresów Rzeczypospolitej czereda zgłodniałych landratów i kreishauptmannów austriackich, można już było wzdychać do wspomnień o niepodległym bycie ojczyzny. Śmiano się z rąk z płochych figlów płatanych niepożądanym przybyciem przez panią kasztelanową kamienską, Katarzynę z Potockich Kossakowską, zaś Joachim Litawer Chreptowicz szczerze był ubawiony opisem, nadesłanym mu przez „śpiewaka Justynę” Franciszka Karpińskiego, w którym jest obrazek jak to państwo landratostwo jadą „strojno, szumno, pętelczasto”, tuląc „dwoje przy boku Spitzbube”. Nie minęło lat dziesięć, gdy Karpiński napisał smutny tren poświęcony ginącej ojczyźnie „Zal Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta”. Z tego też okresu pochodzi inny, anonimowy wiersz, skierowany do nadobnych przedstawicieli rodzaju ludzkiego:

*Polki wolne! słuchajcie niewolniczy głosu:
Wy, co nie znacie smutnych znaków mej niedoli,
Co czujecie moc szczęścia, co wam wolność miła,
Patrzcie! ja dźwigam znamień haniebnej niewoli,
Ja, com się równie z wami Polką urodziła!*
To był głos niewolnej Galicjanki do swych współrodaczek cieszących się jeszcze wolnością, jakże krótko... Minęły bezpowrotnie lata beztroskich zabaw karnawałowych i hucznych balów w noc sylwestrową.

Na przełomie 1826 i 1827 r. policja rosyjska wykryła wskutek zeznań Antoniego ks. Jabłonowskiego sprzyśszenie oficerów polskich popierających zbrojną akcję dekabrystów po zgonie Aleksandra I. Zapewniły się więzienia warszawskie. Nowy Rok zapowiadał się smutno. Policja nakazała Resursie kupieckiej dać bal sylwestrowy, który został całkowicie zignorowany przez Polaków. Wszystkie domy polskie ograniczały się do organizowania spotkań w szupłym gronie domowników i bliskich przyjaciół, wystrzegając się wszelkich znamion radości, a przede wszystkim tańców. Panovali nastrój powagi i smutku. Kiedy zaś jakieś towarzystwo rosyjskie zorganizowało zabawę taneczną, na której znalazło się kilka Polek, a wśród nich żona jednego z uwięzionych i oczekujących na rozprawę przed powołanym przez cara sądem sejmowym, pojawiły się w miescie złośliwe wiersze, zapamiętane przez Fryderyka Skarbka i Bogusławę z Mańkowskich Dąbrowską:

Z różnych szuflad

Były takie karnawały

*Pląsajcie w wesołym kole,
Panny, wdowy i mężatki!
Niech radość na waszym czole
Smutne zwiastuje ostatki.
Może ostatni z Polaków
Męczeńskiej pastwy czekają,
Niech więc tłum skocznych orszaków
Z oprawcą łączy się zgrają (...)
Zacnych matek wychowanki,
By twojej wyrównać sławie,
Dowiedzą nowe Spartanki,
Ze nie masz Polek w Warszawie!*

Upadek powstania listopadowego objął żalobą cały kraj i znów do dobrego tonu należało pozostawienie w wąskim gronie rodzinnym i nieuczestniczenie w karnawałowych szaleństwach. Kiedy we Lwowie liberalny zresztą gubernator Galicji ks. August von Lobkowitz wydał na inaugurację sezonu karnawałowego wspólny bal, nie doszło do tańca, bo nagle wśród przybyłych gości tajemnicza ręka rozsyłała kartki z następującym czterowierszem:

*Czyliż pod skrzypce tyrana,
Możesz tańczyć polska młodzie?
Gdy ojczyzna w kir ubrana,
Wierząc, tańczyć się nie podzi!*
Właśnie wtedy, po klęsce listopadowej, zaczęła swą smutną karierę apostoła do młodej dziewczyny, której ze wszystkich strojów pozostał już tylko jeden, żałobny: czarna sukienka. Wiersz-symbol, powtarzany wielokrotnie w czasach niewoli, wyszedł spod pióra Konstantego Gaszyńskiego i przetrwał w świadomości narodowej pokoleń mimo prześladowań policyjnych:

*Schowaj, matko, suknie moje,
Perły, wieniec z róż,
Jasne szaty, świetne stroje —
To nie dla mnie już!*
*Niegdyś jam stroje, róże lubiła,
Gdy nam nadziei wytrysnął zdroj;
Lecz gdy do grobu Polska zstąpiła,
Jeden mi tylko przystoi strój:
Czarna sukienka.*

W tym samym 1832 r. inny poeta emigrant, Seweryn Goszczyński, z niesmakiem przyjął wiadomość o wesołych pląsach Polek na balu danym w Karlsbadzie z okazji imienin króla pruskiego Fryderyka w samą rocznicę listopadowej insurekcji:

*Tańczcie Polki! teraz czas tańcować,
Kwiatami wieniecze swe wesołe skronie,
Wszakże już naszych przestali mordować,
Wszak rok już minął po ojczyzny zgonie!*

*Dość długo łzami skrapialiście lice...
Dość długo nóżki wasze próżnowały;
Podajcie bratnie Moskalom prawice...
Już czas, by Polki nasze tańcowały.*

Wiersz, wydrukowany bezimiennie w zbiorce poezji „Jedna strona lutni” (Paryż 1841), stał się rychło własnością ogółu. Ktoś do tekstu dorobił melodię i kiedy na krótko przed wybuchem powstania styczniowego car wydawał bal na Zamku Warszawskim, studenci Szkoły Głównej gromkim głosem śpiewali tę piosenkę pod oknami sali balowej tak, by jej słowa dotarły do uszu tańczących. Nazajutrz zresztą pannę Podowską, jedną z uczestniczek balu, ośmieszono w rozlepinej na rogach ulic karykaturze za to, że prosiła cara o nadanie jej rodzinie tytułu hrabiowskiego. Inna pani, na innym balu, zapytana przez cara Aleksandra II, który dostrzegł w jej uszach skromne kolczyki w kształcie orla polskiego:

— Co to za monstrum ma pani w uszach? — miała odwagę odpowiedzieć: — „Sire! Monstrum jest raczej to co ma dwie głowy”, co stanowiło oczywistą aluzję do dwugłowego orla — herbu imperium Romanowych.

Po męczeńskiej śmierci Teofila Wiśniowskiego, powieszzonego z wyroku sądu austriackiego we Lwowie 31 lipca 1847 roku, na tzw. wieczorne tańcującym u hr. Krasickiej ze Starzeńskich pojawiło się z oknem białe widmo, ludzko podobne do męczennika. Innym znów razem wybito okno w sali balowej kamieniem owiniętym w papier, na którym widniał wiersz:

*Kiedy kraj cały w żalobie,
Bracia brzęczą kajdanami
I tygnąc leżą w grobie —
Tańczcie lotry z lajdaczkami.*

W latach 60. XIX w. krążył w odpisach bezimienny wiersz, skierowany do pań, niepomnych na żalobę narodową:

*Tańczcie kielczanki! Cóż was to obchodzi,
Ze naszych „świetych” więźni na barlogu,
Ze dziki tyran gnębi ich i głodzi
Za to, że wierni wierze swej i Bogu!*

Kielczanki! czyż wam tańczyć się dziś godzi?

Podświadomy odruch powstrzymywania się od hucznych zabaw i innych przejawów radości w trudnych dla narodu ciwilach przetrwał do dziś.

ANDRZEJ KEMPA

NR 2 (1606), 8 STYCZNIA 1989 r.

1 Nagle zastępstwo

Rok Józefów

Około Nowego Roku każdy szanujący się (?) publicysta uważa za swój obowiązek rok mijający czy też już miniony podsumować, zbilansować, zdefiniować — jednym słowem „ustosunkować się”. Najambitniejsi do nawet jeszcze wyciągać wnioski i prognozują na rok następny. Ponieważ jestem szanującym się (?) publicystą a także ambitnym niestęchaniem, nie mogę pozostać w tzw. tyle. Toteż nie pozostaje.

Dla mnie rok miniony był rokiem dwóch Józefów. W tygodnikach było tyle portretów Józefa S. co w latach pięćdziesiątych. A jesienią tyle portretów Józefa P. co w latach trzydziśtych. Co do pierwszego Józefa, to przypomniał się powiedzonko „huzia na Józia”. Wytknięto mu wszystkie draństwa i wszeteczeństwa, a było tego niemało. W tym chórze nie śpiewał tylko Zygmunt Kałużyński — miał odwagę przypomnieć, że Stalin, poza tym, że był lajdak i krwiopijca, to nie był sam... A przy okazji — był także tworem swojej epoki i nie ma żadnej pewności, czy kto inny na jego miejscu nie byłby do niego podobny. Może nie taki bandzior, ale prawie na pewno taki sam dyktator, taki sam twórca określonego systemu społeczno-ekonomiczno-politycznego.

A znów Józef drugi robi za „białą plamę”. Bo białe plamy to nie tylko to, o czym nie wiemy. To także to, o czym wszyscy wiedzieli, tylko pisać o tym nie sposób. Zastąpił Józefa P. dla Polski, ba, zaryzykuje twierdzenie, że nawet zasługi dla ruchu robotniczego są niewątpliwie. I słusznie, że się je przypomnia. Ale ma Józef parę rzeczy na sumieniu zupełnie haniebnych. A o tym ani słowa? Jakoś nikt nie ma odwagi napomknąć o „sejmowładztwie zafajdany”, o Berezie Kartuskiej, o maju, o Brześciu? Albo choćby zacytować kuriozalny tekst rozkazu Marszałka o łączności?

Dajmy spokój Józefom. Bardzo ważnym — moim zdaniem — wydarzeniem minionego roku było zniesienie asygnat na samochody. Przypominacie sobie państwo? Dawniej były talony, które niesłychanie irytowały tzw. szarych ludzi. No bo jakże tak? Szary człowiek kupował na giełdzie używanego grata za ciężkie pieniądze a promienisty różną za pół ceny dostawał nowy fabrycznie samochód? No więc, gwoździadość uczynienia poczuć sprawiedliwości społecznej, talony zostały zlikwidowane! Pojawili się asygnaty...

Naród jednak uparty jest i podejrzliwy. Niektórzy nawet posuwali się w swej beczelności do podejrzenia, że talony to samo co asygnaty! Ze tylko nazwa się zmieniła!

Ta beczelność doprowadziła do tego, że władza asygnaty też zniosła. Od nowego roku nie ma ani asygnat, ani talonów. I bardzo dobrze. Z drugiej jednak strony człowiekowi wychowanemu w Polsce Ludowej nijak w głowie się nie mieści, żeby dajmy na to prezydent albo dyrektor departamentu szedł do „bandy Polmota” i kupował Poloneza buląc ciepłą raczką siedem balonów! Tak nie może być! Przynajmniej nie u nas!

I słusznie. Nowe przepisy przewidują, że w społecznie uzasadnionych przypadkach można przyznać nabywcę sa-

mochodu kredyt... No i „złapali Kościuszkę”, jak mawiał niezapomniany pułkownik Sobota ze Studium Wojskowego UŁ. Jak będą oprocentowane te kredyty? Na jaki termin? Wreszcie, co to będą te „społecznie uzasadnione” przypadki? Ostatnie pytanie: Czy w „społecznie uzasadnionych” przypadkach przewiduje się też umorzenie takiego samochodowego kredytu? Bo jeśli tak, to jesteśmy w domu! Nie kijem go, to talonem, nie asygnatą, to kredytem... „Bilans musi wyjść na zero” — jak wypiewkuje Jan Kaczmarek.

Na zakończenie prognoza:

Premier Mieczysław F. Rakowski sformułował trzy priorytety dla swej ekipy. Pięknie. Mam nadzieję, że te trzy ważne cele osiągniemy. Nie za rok, nie za dwa. Może do końca stulecia. Jedno jest pewne: do końca stulecia nie uporamy się z problemem skupu pustych butelek. Polak potrafi różne rzeczy, tego nie potrafi... To jest zadanie na miarę XXI wieku!

ANDRZEJ KAROL

PS. Przy okazji stary dowcip: Idzie do piekła Stalin. Piekło przypomina obóz koncentracyjny. Dyżurny diabeł kieruje Staliną do bloku Józefów i chłocze.

— Czego się śmiesz? — pyta ponuro Józef S.

— Bo tam biskupem jest Piłsudski!

2 Lewym okiem

Spis niezbyt powszechny

Nie wiem, jak się liczy zwierzyńce leśną. Usłyszałem niedawno w radiu, że w górach naszych żyje 14 wilków, 4 orły, ileś tam niedźwiedzi, ale kto to policzył i w jaki sposób, to nie wiem, zwłaszcza że przecież każde z tych uroczych stworzeń może sobie przechodzić swobodnie przez granicę, nie płacąc dwudziestu tysięcy złotych za paszport. Co do mnie nie udało mi się nigdy policzyć nawet gołębi, siedzących po przeciwnej stronie ulicy na gzymsie, bo, co dojechałem do dwudziestu to już ten pierwszy zmienił miejsce z piątym, czwarty szybował na jeźdźnię, bo zobaczył z daleka coś ciekawego i rachunek ciągle musiałem zaczynać od początku. Co tu zresztą mówić o tak ruchomych obiektach jak żywe gołębie, kiedy coś zupełnie statycznego — powierzchnia mojego mieszkania — wypadła przy każdym z kilkakrotnie przeprowadzanych pomiarów inaczej. A skoro powierzchnia mieszkania wahała się w granicach plus minus dwóch metrów kwadratowych, to przestał mnie dziwić fakt, że przy którymś tam ze spisów rolnych okazało się nagle, że kraj nasz jest o dwa powiaty większy niż

przypuszczano przed spisem. A przecież te przypuszczenia były oparte na poprzednim spisie.

Co parę lat przeprowadza się, oprócz spisów rolnych, także remanent pogłowia, jeśli tak można powiedzieć, czyli przeprowadza się powszechny spis ludności. Przeżyłem takich spisów kilka, pytałem ną raz o to, raz o tamto, za każdym razem akcja taka kosztowała gospodarkę narodową niemałą kwotę. Ostatni spis od 9 do 12 grudnia 1988 r. poprzedzony był informacjami prasowymi, zapowiedziami, że do każdego mieszkania przyjdą studenci lub studentki, żeby ich grzecznie przyjąć, żeby otworzyć drzwi, to przyjdą z milicją, że najpierw uprzedzą, kiedy będą dokonywać spisu i takie różne organizacyjne szczegóły.

Otóż chcę tu powiedzieć, że do mnie nie przyszedł nikt, żadnych informacji wywiezionych w klatce schodowej nie było. Nikt się z nami co do terminu nie umawiał. Owszem byli w mojej klatce schodowej w piątek 9 grudnia, ale nie było akurat u mnie nikogo w mieszkaniu. Potem 10, 11 i 12 grudnia nie ruszaliśmy się na krok — nikt się jednak nie zjawił. W podobnej sytuacji był jeszcze jeden z moich sąsiadów. Nie rozpytywałem innych, przypadkowo dowiedziałem się od bliskich mi osób, że również nie zostali spisani, bo spisywacze nie przyszli, mimo, że przedtem umówili się na konkretny dzień. Było to w dwóch różnych miejscach Łodzi. Więc mam prawo mniemać, że spis powszechny dokonany został niedokładnie, nieśmiennie, z beztroskim pominięciem wielu, być może, mieszkańców miasta. Niewykluczone, że te pominięcia pozostają w granicach dopuszczalnego błędu i nie zaważą na wnioskach końcowych.

Chodzi mi jednak o coś innego. Oto jeszcze raz okazuje się, że nie potrafimy niczego zaliczyć solidnie od początku do końca. Nie potrafimy, bo się nam nie chce. Młodym ludziom tym razem znów nie chciało się zorganizować sobie pracy na swoim odcinku tak, żeby wywiązać się należycie ze swojej społecznej funkcji.

Teraz będziemy mieli niedokładnie policzone wilki i niedźwiedzie i niedokładnie policzonych ludzi. I nie będziemy wiedzieli, ilu z nas przypada na jednego wilka, a ilu na jednego niedźwiedzia.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Pod prąd

Co ja mogę?

Jest! Nareszcie jest tak długo oczekiwana i zapowiadana nowa konstytucja gospodarcza, która zrównuje w prawach wszystkie sektory przy podejmowaniu działalności gospodarczej, a także szerzej uchyla drzwi przed kapitałem zagranicznym.

Komentatorzy pięją z zachwyty. Padają z trybun pate-

tyczne określenia. Będzie lepiej. Tak, tym razem już naprawdę będzie lepiej. Najpóźniej za rok, dwa — słyszę w telewizji. No, i wszystko od dziś zależy tylko od naszej przedsiębiorczości. Od naszej — myśle — więc również i mojej. Rząd, partia, Sejm, związki zawodowe i kto tam jeszcze, mówią zgodnie: dajemy ci, obywatelu nieograniczone prawie możliwości działania i robienia pieniędzy, co nie jest już grzechem, ale cnotą. Korzystaj z nich zatem, pokaż, co potrafisz. Oddajemy ci na powrót twój los w twoje własne ręce. Nie będziemy ci już przeszkadzać, nie będziemy zabraniać. Musisz tylko uwierzyć, że sam jesteś kowalem swego dobrobytu. Im wcześniej to zrozumiesz, tym lepiej. Nie zmarnuj więc swojej szansy.

Posłuchałem, poczytałem, pomyślałem i... Nie chciałem nazywać tego wprost, ale — zrobiło mi się jakoś dziwnie. To znaczy, niby ucieczyłem się, uradowałem wspólnie z całym społeczeństwem, bo jak by nie patrzeć, jest to duży i ważny krok naprzód, doniosła chwila; a jednocześnie poczułem mną targać takie wątpliwości, że całe to zadowolenie przysła natychmiast jak mydlana bańka. Już choćby dlatego, że wyobraziłem sobie, co ja, przeciętny zjadacz chleba z margaryną „Sawa”, teraz mogę.

A co mogę?

Otóż przede wszystkim mogę, a nawet powinienem wykonać się inicjatywą, pomysłem, przedsiębiorczością i — założyć na przykład prywatną firmę. Całkiem prywatną, albo spółkę — wszystko jedno. Proszę, mam nawet wybór. No, to mi się dopiero trafiło. Po tylu latach czekania. Prawda, że może trochę długo, ale przecież teraz... Mój dobrobyt zależy jedynie ode mnie. Koniec narzekania, że nie wolno.

Jest jednak pewien problem. Dwa problemy właściwie. Otóż — po pierwsze — nie mam na założenie własnej firmy pieniędzy. Nawet na przystąpienie do spółki. A nie mam ich, bo wszystkie moje oszczędności zżarła inflacja. A zżarła je, bo nie kradłem, nie wykorzystywałem stanowiska dla prywatnych korzyści, nie oszukiwałem, nie łamałem przepisów. Wierzyłem, że wystarczy dobra, uczciwa praca, a nie zgine.

Po drugie — co moja firma miałaby robić? Co w niej ja miałbym robić poza tym, że byłbym właścicielem lub udziałowcem? Pisać felietony? Nonsens. A nic innego nie potrafię — przynajmniej tak dobrane, aby móc konkurować na rynku. Przez całe prawie życie byłem dziennikarzem. Zawód niby całkiem, całkiem. W RFN na przykład dobry dziennikarz prasy centralnej zarabia — jak słyszałem — około dziesięciu tysięcy marek miesięcznie. W wielu zaprzyjaźnionych krajach socjalistycznych też nieźle żyje się redaktorom. Słowem, zdawać by się mogło, niezła fucha — jak mawia pewien mój znajomy hydraulik. Tymczasem ze mną kłapa na całej linii. Nie jestem w stanie sprostać wyzwaniu epoki. Sprawiam zawód. Niczego nie założę, niczym się nie wykażę. Nic nie jestem wart.

Co gorsza, identycznie tak samo myśli mój pracodawca, który oferuje mi podstawowe wynagrodzenie w wysokości — uwaga! uwaga! — dziesięciu dolarów. Oczywiście w przeliczeniu na pieniądze — jak się teraz mówi — po czarnorynkowym kursie. Czyż nie świadczy to jednoznacznie, jak kiepskie ma o mnie zdanie? Bo przecież jeśli nawet drugie i trzecie tyle zarobię w postaci honorariów, wypruwając sobie przy okazji wszystkie żyły, to cóż to jest?

Tyle samo mniej więcej może nauczyciel, niejednen lekarz, sędzia, prądkarz, tkacz. W sumie na pewno kilka milionów ludzi. Daję moją siwą głowę, że na nich, to jest — chciałem powiedzieć — na nas rząd się zawiedzie. I będzie to ied — nasza wina.

JÓZEF RETMAN

ODGŁOSY 15

I oto Kłodawa, jej synowie oraz koniuchowie zobaczyli jak Norman przestał nacierać śniegiem swoją twarz, wyprostował się dumnie, odrzuciwszy głowę do tyłu. Mogło się wydawać, że nagle na ich oczach stał się kims zupełnie innym, wyniosłym, dumnym, sprawiającym wrażenie uosobienia czarodziejskich mocy. Czy był to naprawdę ten sam słaniający się na nogach człowiek, którego znaleźli u Koniojadów?

Usłyszeli jak przemówił w czystej i pięknej mowie Sklawinów:

— Daruję ci wszystkie winy, Herimie, ponieważ to ty odkryłeś mnie swoim płaszczem, gdy byłem nagi i martwy. Przyszedł czas pomsty i sądu. Dwa razy zmazałeś swoją winę i uratowałeś mi życie.

Herim zapłakał. Prawdziwe i wielkie łzy wzruszenia popłynęły z jego oczu i stoczyły się po policzkach.

— Na kolana — wrzasnął na Kłodawę i jej synów. — Na kolana! Oto wasz pan. Dago i Piastun, nieśmiertelny olbrzym, Dawca Sprawiedliwości i Ojciec Wolności. Chwała mu na wieki wieków.

Kłęknięli porażeni jego słowami. A wielki pan w lisiej czapie i bobrowym płaszczu, z rzeźbioną buławą w dłoni, jeszcze kilka kroków podczołgał się do Piastuna i czołem dotknął jego butów.

— Wstań, Herimie — rozkazał Dago. — Wsiadaj na konia i wracaj ku armii. Nie może Rewin nabrać podejrzeń i wysłać za tobą konnych wojowników.

— Chcę być z tobą, mój panie.

— Wróć się do armii — potwórzysz z mocą Dago. — Jutro udasz chorego i każeś się saniem odwieźć do Kruszwic. Postaraj się spotkać kogoś z moich wiernych Lesków i wyslij go z piśmie do Spicimira, aby wiedział, że jestem żywy i będę sądził żywych.

— A ty, dokąd jedziesz, panie? — Będę wszędzie, Herimie. Ty zaś czekaj na mnie w Kruszwic. A kiedy przyjdzie chwila pomsty, udasz się Kira, gdyż takie jest jego przeznaczenie. Zapomnij co to takiego litość, ponieważ krzyk i błagania o litość zagłuszy jak tych, których strąca do Navi.

— Boję się wracać do Kruszwic. Byłem w łóżu Zyfiki i grozi mi śmierć tak jak Fulce. — Nie spiesz się, z powrotem, ale powiadom Spicimira, Awdanów i Palukę. Napisz im, że Piastun jest nieśmiertelny i zwycięża. Po przybyciu do Kruszwic udaj umierającego. Nie zabije cię Zyfika, myśląc, że umierasz.

— Tak uczynię nieśmiertelny panie — rzekł Herim. — Weź ode mnie tę sakiewkę pełną srebra i złotych solidów.

To mówiąc podał Dagonowi mały woreczek. Wskoczył na ramię i nie oglądając się za siebie, tak samo gwałtem popędził przez pola w ślad za armią.

Następnego dnia późnym wieczorem do drzwi ogromnego nowo zbudowanego domu na podgrodziu Kruszwic, zapukał jakiś człowiek okutany przed mrozem w szarą opończę. W tym nowo zbudowanym domu, który miał na piętrze liczne komnaty a na dole była izba podobna do szopy i gdzie przy długich drewnianych stołach można było za pieniądze zjeść tłusto i wypić miodu a nawet wino, mieścił się zamieszany rządzony przez Arne. Drzwi były zamknięte na mocny skobel, wpuszczano do wnętrza tylko ludzi znanych, znacznych i zamownych. Dwóch wojowników podobnych do zbiorów rabujących po gościach, z rozkazu grodzodzierzy Kędzierzy w dzień i w noc pilnowało drzwi, gdyż sam Kędzierza zachodził czasem do zamieszanych tam dziewczek i suto był opłacany przez Arne. Szepiano w Kruszwic, że niekiedy sama królowa Zyfika zwracała się tajnie do Arne, aby jej dostarczyła jakiegoś młodego chłopca do miłości, dlatego Arne cieszyła się w grodzie szacunkiem, a nawet lekkiem, choć była dawcą płatnej rozkoszy.

— Kto tam — zapytał jeden ze zbiorów.

— Gość — usłyszał w odpowiedzi.

Otwarto drzwi i człowiek, który w nich stanął, podrzucił na dłoń dwa złote solidy i kawalek srebra.

— Zaprowadźcie mnie do jasnej wielmożnej pani Arne — porośli i kawaleczek srebrnej ozdoby rzucił zbiorowi.

Wpuszczono gościa do jasno oświetlonej kaskankami izby. Zobaczył przy dwóch stołach pijących saurackich żołnierzy, usłyszał ich dzikie piesz-

ni, ujrzał na wpół obnażone dziewczki siedzące im na kolanach. Zbir powiódł go przez izbę na drewniane schody na piętro. Zapukał do pomalowanych na czerwono drzwi.

— Gość do pani Arne — oznajmił.

W niewielkiej komnacie, ale bogato ustrojonej siedziała Arne z dwoma dziewczkami i kończyła kolację.

— Chcę mówić tylko z tobą, pani Arne — powiedział przybysz i podrzucił na dłoń dwa złote solidy.

Zbladła, rozpoznawszy czyj głos słyszy. Opanowała się jednak bardzo szybko, przegnała dziewczki ze swej komnaty. Wiedząc przybysz rzucił z głowy kaptur opończy, zobaczyła umiłowana twarz i padła na kolana, całując dłoń Piastuna.

— To jesteś ty, jasny panie? — powtarzała jak gdyby nie wierząc własnym oczom i nie wierząc swoim uszom.

— Jam jest. Dago Piastun i władca.

I po raz pierwszy od wielu

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



rys. Janusz Szymański-Glanc

tygodni na ustach Dagona pojawił się uśmiech.

— Panie, grozi ci tu straszne niebezpieczeństwo.

Uśmiech pierzchnął z twarzy Piastuna. Powiedział półgłosem, lecz z dziwną mocą:

— Przybyłem, aby sądzić, albowiem mówi się, że jestem nieśmiertelny.

Piękna karlica imieniem Milka, najbliższa służka Helgundy i najczulsza opiekunka jej dwojga dzieci, zeznała na torturach przed księciem Karakiem, iż przysłana została do Karakowa przez władzę Polan, przedziwnego Piastuna, aby księżną Helgundę i jej dzieci — syna i córkę — otruli. Nie uczyniła jednak tego, ponieważ obiecał ją Piastun zapłodnić, aby urodziła olbrzymia. Lecz nie takiegoc nie nastąpiło i nie uczynił jej brzemiennej. Dotarłszy więc do Karakowa oddała się odtąd wiernej służbie dla księżnej Helgundy i jej dzieci zrodzonych z Karaka. Księżna Helgunda rozczłona z jakiegoś powodu na Milkę, a może zazdrośna o jej tajemne rozkosze, jakie zżywała z trzymanym w ukryciu czarnym kozłem, kazała pewnego dnia owego kozła zabić, jak to już raz uczyniła w Gnieźnie. Wówczas to Milka podała jej wino rozcieńczone z wodą, w której gotował się suszony sromotnik i księżna skonała w okropnych męczarniach w ciągu kilku dni.

Podczas tortur karlica Milka przemleczła jednak o czarnym kozle, gdyż nawet podczas męczarni wstydziła się wyznać jakim to drożym rozkoszom się oddawała. Wolała wskazać na Królową Zyfikę — jako na tę, która jej nowe polecenie zabicia Helgundy wydała, aby odsunąć od drogi do tronu Polan, Okszę, syna Helgundy i Karaka. Jeszcze przed zabiciem Helgundy wiele się mówiło w Karakowie o tym, jak to królowa Mazowii zwałbła do Plocka przedziwnego Piastuna, tam go otruli, a ciało wrzuciła do rzeki Visuli, aby jego syn Lestek zrodzony z Gedanii, nie zasiadł w przyszłości na tronie w Gnie-

źnie. W ten sposób książę Karak łatwiej uwierzył Milce, że popełniła zbrodnię z polecenia Zyfiki, niżby mu prawda o zabitym kozle, ponieważ śmierć Piastuna otwierała drogę na tron, a kozła można było sobie sprawić innego. Natomiast tron był jeden i dla jednego człowieka, dla Kira lub dla Okszy, syna Helgundy.

Milka umarła podczas tortur i pochowano ją w fosie za pałacem i wałami grodu. Księżną Helgundę natomiast spalono uroczyście i nad urną z jej prochami rozkazał Karak usypać ogromny kurhan. Dzień i noc ludzie wolni i niewolni wozili ziemię aż powstał kopiec tak ogromny, że prawie nieba sięgał, kochał bowiem Karak swoją żonę jak żadną inną. Z czasem Visulanie nazwali to miejsce kopcem Wandalki, gdyż różnie się mówiło o żonie Karaka, a to, że jest Łze-Helgundą, że pochodzi z dalekich stron, gdzieś aż od Wandawów, którzy

nie jest w stanie zagrozić jego państwu i należy taki moment wykorzystać, aby wszcząć wojnę z Zyfiką. Dlatego zebrał swoje oddziały, wkroczył do dawnego kraju Ludzi Skrzydlatych i mimo stawianego mu oporu, zdobył go wraz z grodem Sieradzą. Nie myślał oddać tej ziemi Ludziom Skrzydlatym, którzy po klęsce, jakiej doznali od Piastuna, u niego się schronili, ale postanowił panować na nowo zdobytych ziemiach w imieniu syna Okszy. Przeziłował w Sieradży, z początkiem zaś miesiąca zbierania oskoły stoczył pod Sieradzą morderczą bitwę z wojskami Sauromatów, dowodzonymi przez niejakiego Rewina. rozbił armię królowej Zyfiki i w ten sposób dawny kraj Gopelanów oraz Ludzi Długogłowych stanął przed nim otworem. „Gdy posiadę Kruszwic, a także całą Mazowię, przerażą się mnie Spicimir, Awdanów i Palukę, przysięgą wierności złożą małemu Okszy i w ten sposób cały kraj Polan

znajdziesz pomoc u Pyrsjan albo zjednasz sobie Spicimira, Awdanów lub Palukę. W Kruszwic pozostaw tylko małą załogę, bo i tak jest to gród tak warowny, że nie do zdobycia. Tu będziesz bezpieczna. Nie odważaj się Karak obiegać Kruszwic. Ostrzegam cię, że zabije Piastuna to tak samo jak rozbić jego państwo. Nie radziłaś się mnie, kiedy postanowiłaś go otruć.

— Bo go miłowałem — czerwienili się gniewem policzki Zyfiki, a jej ręka sięgała po nóż za pasem nabijanym złotymi guzami.

— W drodze pod Sieradzę słyszałem od ludu, że Piastun żyje i przyjdzie, królowo, po swoją głowę — skrzekliwie, wolno mówił Herim. — Oповідаła, że padnie przed nim na kolana Spicimir, Awdanów i Palukę, on to wypędzi Karaka. Może więc lepiej schroń się pani z Kirem na Mazowię, w tamtejszych puszczech.

Po takich słowach Zyfika za-

(35)

— On był martwy, naprawdę martwy — tupiała nogami Zyfika. — Jest teraz w Navi, trzęsie się z zimna i dręczy go głód.

I rozwścieczona biegła do swej królewskiej komnaty, otwierała skrzynię i wyjmowała z niej Świętą Andale, którą zdarto w Plocku z czoła Piastuna. Zakładała Andale na swoje bujne czarne włosy i znowu pojawiała się przy łóżu Herima.

— Zabijał jego Vindosa i lud to widział — mówiła. — Jego miecz Tyrfinng wisi w sali tronowej tuż nad moim tronem i lud to widzi. Czy nie mam na głowie Świętej Andale?

Słyszała słaby skrzekliwy głos Herima:

— Andale trzeba otrzymać bez przelewu krwi. Sama widziałam, królowo, że Piastunowi przekazał ją Golub Popiołowiowy po dobrej woli i bez przelewu krwi. Dlatego na jego czoło złoty kamień blizszczył chyba jaśniej niż na twoim.

— Ja też nie przełamałam ani kropli krwi — odpowiedziała. — Otrulałam go. Krwi nie było. — Ale nie oddał go po dobrej woli...

Wzruszała ramionami jak gdyby to nie miało znaczenia i znowu przechadzała się po komnacie, gdzie leżał Herim. Tak, była wciąż bardzo piękna a może nawet piękniejsza niż dawniej. Nosila zielone obcisłe wełniane spodnie wpuszczone w wysokie złote buty. Herim widział jej kragule uda i długie nogi, szerokie biodra z wypukłymi pośladkami. W tali była szczupła jak młoda dziewczyna, co podkreślał złoty pas z nożem. Gruby podkładaniec, na który zwykła zakładać misterną i ciężką kołczugę nie uwypuklał jednak jej dużych piersi i czynił płaską. Szyję miała długą, obnażoną, głowę trzymała dumnie z ogromnym hełmem czarnych włosów. Przepaska Świętej Andale ze złotym kamieniem na czoło dawała jej majestatu, a złoty pectoral zawieszony na piersiach czynił z niej prawdziwą królową. Urodziła dwoje dzieci, twarz jej stała się pełniejsza, a usta czerwieniejące i jeszcze bardziej ponętne. Jej czarne brwi przypominały skrzydła jaskółek. Ale Herim już jej nie pożądał, gdyż w obecności Zyfiki odnosił ostatnio wrażenie, że przebywa ze zdziwłą kością.

— Jeśli chcesz, umrzeć w swoim łóżu, nie patrz jak blizszczy kamień na moim czoło — oświadczyła nagle.

Nie odezwał się. Kilkakrotnie już spotykał się z jej pogrozkami. Odkąd zobaczył żywego Piastuna i uwierzył, że on wróci do władzy i znowu scałi Państwo Polan, nie potrafił się powstrzymać, aby od czasu do czasu nie przeciwstawiać się jej słowom, co przyjmowała z coraz większą niecierpliwością.

— Pożądałeś mnie, a ja ci dalałam swoje ciało. Tak mi się odwiedziasz za rozkosz? — zapytała.

Nie podjął tej sprawy. Powiedział:

— Mogłaś zacząć od zbudowania wielkiego państwa, obudził śpiącego olbrzymia. Kir w tym czasie stałby się mężczyną i sam sięgnął po władzę.

Zacisnęła usta.

— Dlaczego tak potraktowałeś mojego syna? Rozumiem, że nie uznał Daboga Awdanów, albo Wszczęsława Paluki, bo to bastardi. Ale Kir nie jest karłem i ty o tym dobrze wiesz, Herimie. Czemu uznał Lestika, a nie Kira, który jest starszy i ma pierwszeństwo do tronu? Chciał mojej śmierci przy porodzie, bo tylko moja śmierć mogła go przekonać, że Kir nie jest karłem. Odpłaciam mu śmiercią i to jest sprawiedliwe, Herimie.

— Lestek żyje, królowo.

— Jak długo? — zapytała szyderczo. — Wysłałam tajemnego posła do Spicimira, który piastuje Lestika, Spicimir ma syna imieniem Nałęcz. Kazałam powiedzieć Spicimirovi: zadasz Lestikę i przyjdź mi z pomocą przeciw Karakowi, a ja w imieniu mego syna Kira, uznam w twoim Nałęczu jedynego władcę Polan, albowiem kto włada Gniazdem, ten włada państwem.

C.D.N